

ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 12

A. K. SEMADEN

21. III. 1936 R.

JUŻ ROZPOCZĘTE WIOSENNE PRACE W POLU



P R A S A Z C A Ł E G O Ś W I A T A

Wobec wydarzeń wielkiej wagi, jakie rozgrywają się na terenie międzynarodowym wprowadzamy w naszym wydawnictwie nowy dział: przegląd prasy z całego świata. W dziale tym zamieszczać będziemy wyjątki z najważniejszych i najciekawszych artykułów prasy zagranicznej, uzupełniając w ten sposób depesze i wiadomości prasy codziennej.

Samiście chcieli

LA NATION BELGE, Bruksella:

Błąd traktatu wersalskiego, „zbyt twardego dla słabszych, zbyt łagodnego dla mocnych”. Błąd polityki lokarneńskiej, opartej na nieszczęsnej „wzajemnej dobrej woli”. Błąd ewakuacji strefy okupowanej. Błąd ustępstwa za każdą cenę. Błąd „powszechnego bezpieczeństwa” i wiary w Genewę, która okazała się niebezpieczniejsza dla pokoju, niż system sojuszków, również niedoskonały. Błąd psychologiczny opinii i sprzymierzonych dyplomatów, którzy uważali, że uspokoi się żądzę odwetu i rozbroi niemiecką chęć zemsty przez ustępstwa terytorjalne.

Prawda jest po stronie przeciwniej: nigdy Niemcy nie wnoszą ostrzejszych żądań i pretensji, nigdy nie są one tak agresywne, jak w momencie, kiedy poczują się silne. Nigdy nie czują się tak silne, jak w momencie, gdy się im ustępuje.

Jakby nie było, los jest rzucony. Samiśmy doprowadzili do tego, mimo zapowiedzi przewidujących patryotów, jakbyśmy sami chcieli dojść do tego, co się stało. Dzisiaj nie pozostaje nam już nic innego, jak polityka najmniejszego zła.

Trzeba się zbroić.

Trzeba zawiązać solidne, pewne przymierza, poparte sojuszami wojskowymi starannie przemyślanymi i wykonywanymi.

Trzeba się porozumieć

NOOROVANTSCH DAGBLAD, Nimègue:

Jaka szkoda, że sytuacja została zagmatwana z jednej strony przez enuncjacje Hitlera, przynajmniej na zawsze słuszność, z drugiej zaś przez Francję zasklepioną w swych niewzruszonych teorjach.

Cóż więc przyniesie przyszłość? Wojna jest wykluczona, przynajmniej obecnie. Niemcy są jeszcze nieprzygotowane, a

Francja nie może jej prowadzić bez współudziału Anglii, która mimo widocznego zaniepokojenia nie zdaje się aprobować takiego rozwiązania.

A więc sprawa wypłyne na forum Ligi Narodów, która odnowi to, co uczyniła i powiedziała w ubiegłym roku, gdy musiała rozpatrzyć inne złamanie traktatu. (Mówimy o wprowadzeniu powszechnej służby wojskowej w Niemczech).

Cóż zrobiła Liga Narodów?

Podniosła z wymówką palec i powiedziała Niemcom: „Tym razem wybaczam wam pod warunkiem, że znowu nie zaczniecie bruździć. W przeciwnym razie zobaczycie to, co... zobaczycie!”

Teraz Niemcy proponują swój powrót do Ligi. Na szczęście, pierwszy paragraf paktu Ligi zastrzega, że można zażądać pewnych gwarancji odnośnie przyjęcia nowych członków.

Zaufanie w stosunku do Niemiec nie jest powszechne ani całkowite. Liga Narodów mogłaby, ewentualnie, w razie powtórnego przyjęcia Niemiec do swego grona, zażądać pewnych szczegółowych gwarancji, dających nieufnym i zaniepokojonym dodatkowe prawa kontroli...

Włochy nie zapominają

IL REGIME FASCISTA, Cremona:

Oburzenie Francuzów jest zrozumiałe, ale rozkaz wycofania wojsk, rzucony przez Sarraut Hitlerowi, przypomina przez asocjacje rozkazy, które Negus wielokrotnie wysyłał Mussoliniemu.

Naród włoski, który w dramatycznych godzinach, jakie przeżywa, odczuł bardziej, niż kto inny, moralną niemożliwość pewnych ustępstw, nie może nie zrozumieć moralnej niemożliwości czynu, który chcą narzucić Hitlerowi.

Gdyby Hitler rozkazał wycofanie wojsk z Kolonji, Koblencki i ze wszystkich miejscowości strefy dotychczas zdemilitaryzowanej, straciłby momentalnie zaufanie i ślepą miłość swego narodu.

Tymczasem w Paryżu od kilku dni znowu zaczyna się wyśpiewywać na wszystkich tony pochwały przyjaźni włoskiej i czynić przyjacielskie gesty w stronę Mussoliniego.

Szkoda, że Włochy nie posiadają wersalskości i krótkiej pamięci swych francuskich przyjaciół!

Sankcje!

LE PEUPLE, Bruksella:

...Jeżeli Niemcy nie zastosują się do postanowień Rady Ligi Narodów, trzeba będzie zastosować wobec nich sankcje. Chcemy pokoju a nie wojny. Sankcje wojskowe, przewidziane w Pakcie Ligi Narodów, nie powinny być wprowadzone aż do chwili, gdy nie będzie już innej możliwości zachowania pokoju. Na szczęście, jeszcześmy tak daleko nie zaszli.

Sankcje ekonomiczne zupełnie wystarczą, aby sprowadzić upadek Hitlera. Może będzie on groził, że odpowie na sankcje nawet pokojową wojną i inwazją. Jeżeli Europa zleknie się tych pogroźek, zostanie zgubiona. Pogroźki hitlerowskie nie są znakiem siły, lecz słabości.

Hitleryzm nie wytrzyma kilku tygodni poważnej blokady. Inne narody winny wykonać lojalnie wyrok prawa międzynarodowego.

Po upływie paru tygodni barbarzyństwo hitlerowskie będzie tylko straszliwym wspomnieniem, a demokratyczne i pokojowe Niemcy będą mogły wejść spowrotem do grona narodów cywilizowanych.

Oto nakazy chwili. Czyż znajdą się inne, któreby mogły im przeciwstawić?



Generalny inspektor sił zbrojnych gen. dyw. Edward Rydz-Śmigły, obchodził w tygodniu bieżącym swe imieniny.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXI. Nr. 12

21. III. 1936

CI, O KTÓRYCH SIĘ MÓWI



Zdjęcie górne: W cichej miejscowości Cocherel, gdzie spoczywa Briand, 8 marca w czwartą rocznicę jego śmierci odbyła się żałobna uroczystość. Pośrodku przemawia Paul - Boncour.



Min. Eden, przedstawiciel chwiejnej polityki angielskiej.



Zdjęcie obok: Dwaj dyktatorzy europejscy, Mussolini i Hitler, dziś mniej przyjaźnie dla siebie usposobieni.



Dentolin

KARPIŃSKIEGO
PIERWSZORZĘDNA
PASTA DO ZĘBÓW

RUINA LOCARNA

16-go listopada 1925 roku zakończono... nową erę stabilizowania pokoju — uroczyste i solennie podpisano Traktat w Locarno.

W grudniu 1925 roku na patetycznie - łzawem posiedzeniu w Genewie umowy lokarneńskie złożone zostały w Lidze Narodów. W girlandzie pięknych słów Paul-Boncour znalazł następujące określenie: „Mówiąc o Traktacie lokarneńskim, można zastosować tylko takie określenie, które sięga do podstaw życia umysłowego: „In eo vivimus, movemur et sumus”.

Miał więc świat od tej pory, od 14-go grudnia 1925 r., żyć i istnieć dzięki Locarnu.

„Duch Locarna” miał panować — unosić się nad światem — gwarantować jego spokój i bezpieczeństwo.

Wśród tej nadziei i wiary żył ci, co zawierzyli, iż podpis niemiecki położony dobrowolnie pod traktatem ma nieprzemijające znaczenie, i że odtąd Niemcy nie będą mogły stosować polityki „świszka papieru”.

Dnia 8-go marca 1936 roku — w czwartą rocznicę śmierci Brianda — nad jego grobem w cichej wiosce Cocherel, Paul - Boncour wygłaszał mowę, poświęconą pamięci duchowego ojca Locarna. O czym mówił Paul - Boncour 8 marca 1936 roku? O wkroczeniu wojsk niemieckich do nadreńskiej strefy zdemilitaryzowanej. O wkroczeniu, które odbyło się 7 marca 1936 r...

Trudno dobitniej podkreślić ruinę dzieła briandowskiego, trudno wyrażniej zdeptać jego pokojowe marzenia, oparte na taktyce ustępstw względem Niemiec. Parademarsch, wybijany w znane bojowe tempo, grzmiał na ulicach Kolonji, Düsseldorfu, Koblencji, a jego tętno znać było ciszę i spokój grobu w Cocherel.

„W pakcie lokarneńskim żyjemy” - wołał ongi Paul - Boncour, ten sam, który, czcząc przyjaciela, musiał mu nad grobem w cztery lata po śmierci w równie płomiennej mowie opowiadać o wkroczeniu wojsk niemieckich, o złamaniu Locarna i Wersalu.

Briand wierzył — Niemcom Stresemanna.

Ale cóż oświadczył kanclerz Hitler jego następcom?

W Reichstagu, w wielkiej mowie z 30 czerwca 1934 r., kanclerz Hitler powiedział: „Kwestja Saary, to *jedyna* kwestja terytorjalna, jaka dzieli jeszcze nasze oba narody (Francję i Niemcy). *Gdy ona zostanie uregulowana — rząd niemiecki gotów będzie zaakceptować nie tylko literę, ale i ducha Traktatu w Locarno, gdyż żadna inna kwestja terytorjalna nie będzie istniała między Niemcami i Francją*”.

Sprawa Saary załatwiona została po myśli Niemiec w styczniu 1935 roku. A więc Traktat w Locarno, dobrowolnie podpisany przez Niemcy Stresemanna, *został moralnie ponownie zaakceptowany przez Niemcy Hitlera w styczniu 1935 roku*.

Piękne zobowiązanie przetrwało zaledwie rok.

„Świszek papieru” staje się niemal symbolem dyplomacji i polityki Niemiec.

W tej sytuacji dla każdego trzeźwego polityka musi się rodzić pytanie: „Co są warte i jakie gwarancje dają podpisy niemieckie na dokumentach 10-cio, 15-o, czy dwudziestopięcioletnich — jakie się już kładło lub obecnie proponuje?”.

Dnia 7 marca umarł Briand — dnia 8 marca wojska niemieckie wkroczyły do Kolonji. Tylko cztery lata dzielią te dwie daty. Cztery lata wystarczyły, aby niemiecki pochód remilitaryzacji i dozbrojenia dokonał się.

Zastanawiający jednak jest fakt, dlaczego Hitler postawił świat przed czynem dokonanym. Dlaczego nie sięgnął do paragrafu tegoż Traktatu w Locarno, pozwalającego żądać rewizji samego Traktatu? Artykuł 8-y Traktatu w Locarno stwierdza wyraźnie, że „traktat ten pozostaje w mocy do czasu, gdy Rada Ligi Narodów dwoma trzeciami głosów większości na żądanie któregoś z sygnatariuszy, po uprzednim trzymiesięcznym zawiadomieniu wszystkich innych gwarantów, uzna, że Liga Narodów może zapewnić stronom wystarczające gwarancje”.

Jeśli więc kanclerz Hitler uważał, że Niemcy nie mają, czy utracili wystarczające gwaran-

cje, mógł drogą dyplomatyczną domagać się rozwiązania lub uzupełnienia zobowiązań. Nie wybrano jednak tej drogi legalnej.

Wybrano decyzję, opartą o fakt dokonany, opartą o gest siły. Tak samo jak to miało miejsce w marcu 1935 roku.

Na zasadzie choćby tych dwóch czynów można stwierdzić, że system siły i faktów dokonanych został wybrany i zrealizowany przez trzecią Rzeszę z konsekwencją, nie liczącą się z żadnymi względami.

Rada Ligi Narodów ma się wypowiedzieć. Rada Ligi Narodów ma wyrokować. Ale czyż nie wyrokowała ona już rok temu, kiedy przez wprowadzenie służby wojskowej został pogwałcony Traktat Wersalski? Już wtedy w długiej i ostrej rezolucji Rada Ligi stwierdziła, że „Skrupulatne poszanowanie wszystkich zobowiązań traktatowych jest podstawową zasadą życia międzynarodowego i najpierwszym warunkiem utrzymania pokoju”.

Stwierdziwszy dalej, że wypowiedzenie *jednostronne* traktatu jest niedopuszczalne, Rada Ligi oświadczyła, że „Niemcy uchybiły warunkowi, wiążącemu wszystkich członków międzynarodowej wspólnoty, nakazującemu szanować powzięte zobowiązania”. Rada Ligi potępiła „wszelkie jednostronne uchylanie się od zobowiązań międzynarodowych”.

Tak było już w roku 1935-ym.. Już wówczas Niemcy potępiono, a nawet nakazano Radzie wynaleś środki, by nic podobnego nie mogło się powtórzyć.

Niestety, — powtórzyło się! Traktat Lokarneński i cała złudna polityka, która od niego wzięła początek — leżą w gruzach. Pod temi gruzami pogrzebano ufność Europy. Marzyciele i utopiści zderzyli się — z rzeczywistością. Z tą rzeczywistością zderzyli się również krótkowidze dyplomatyczni. Trudno o większy pogrom rzekomej mądrości dyptomatów. Pochód zbrojących się Niemiec, dążących do wyzwolenia się z klauzul traktatów — był widoczny gołym okiem. Mędrcom dyplomatyczni włożyli szkiełko, udawali mędrców Sanchadrynu — dziś jednym gestem Hitler to szkiełko wybił. Obyż choć oczy pozostały w całości!

JÓZEF PIŁSUDSKI

[13 plansz Z. Czernańskiego

(Wyd. Przerorskiego).

Nie każdy może posiadać na własność dobry portret Marszałka, dzieło poważnego pędzla. Jednak prawie każdego stać na to, aby postać Józefa Piłsudskiego, uwiecznioną przez wybitnego artystę, mieć ciągle przed oczami. Myślimy tu o tece, złożonej z 13-tu plansz Z. Czernańskiego, która zawiera kilkanaście żywych, trafnie uchwyconych sylwetek Marszałka z różnych epok Jego działalności.

„W okopach“ (rok 1914) i „Z Beliniakami“ (rok 1915) — przedstawiają Marszałka jako człowieka młodego, o wzroku orlim, o rysach skupionych, wyrażających świadomość olbrzymiej odpowiedzialności. Rok 1921 ilustrują rysunki „W Paryżu“ i „Pierwszy Marszałek Polski“ — pełne dostojności.

Zupełnie inny nastrój wywołuje „Sulejówkę“ (rok 1925) i późniejszy, zatytułowany „Laurka“. Pierwszy z nich przedstawia Marszałka z córeczkami w zaciszu wiejskiej samotni. Wyraz twarzy dobrotliwy, najserdeczniej ojcowski, świadczy



Na Wawelu

o tem, jak dobrze czuł się w towarzystwie tych małych osób. Na drugim rysunku widzimy Marszałka w dniu Jego imienin, gdy niezdrów nie przyjmował oficjalnych delegacji, ale zawsze był widzialny dla cisnących się tłumnie do Niego dzieci. Marszałek leży w łóżku, oparty o poduszki, nałożył okulary i ogląda z wielkim zaciekawieniem — laurkę. Z zaciekawieniem, ale i widoczną wesołością, którą nieco hamuje, uśmiechając się raczej kątami oczu, niż ustami. Twarz ma rozjaśnioną a jednocześnie jakby wzruszoną. Trzy anonimowe dość sobie szpetne dzieciaki — zapewne właśnie ofiarodawcy laurki — stoją koło łóża Marszałka i rozradowanymi minami biorą żywy udział w tej świetnie skreślonej, bardzo intymnej scenie.

Rok 1928 odtwarzają rysunki „Na Wawelu“ oraz „Studjum portretowe“. Najżywszy może i już najpopularniejszy jest „Pasjans“.

Rysunek „Rewja“ — ostatnia rewja w roku 1934 — wzrusza intensywnością wyrazu, znów skupionego w oczach: patrzą one z miłością na przeciągające przed Wodzem szeregi wojska, jakby wiedziały, że patrzą na nie już po raz ostatni. A twarz jest zmęczona i postać pochylona cierpieniem.

Rysunki Czernańskiego mają swą ustaloną sławę i podkreślanie ich walorów jest zbędne. Wykonanie teki, wydanej bardzo starannie techniką foto-offsetową, powierzono zakładom graficznym Straszewiczów, które wywiązały się z zadania doskonale.



Pasjans

Z. N. Ch.

P O Ł Ó W

Gorszące widowisko

Inaczej nazwać nie można tego, co się dzieje w Fundacji im. J. Potockiego. Prasa ostro zarzuca wykonawcom testamentu, że czepili się dobrze płatnych posad i rozmyślnie przewlekają sprawę oddania Fundacji w ręce właściwe, t.j. w ręce Rady Fundacyjnej. Prezes Rady, dr. Chodźko, opublikował list, zawierający pod tym względem nader ciężkie i sprecyzowane zarzuty, skierowane przeciwko wykonawcom, pp. Moszyńskiemu i Czurukowi. Na to pan Moszyński wystosował do prezesa Chodźki list otwarty, proponujący... sąd obywatelski.

W głowie się mąci. Cała Polska patrzy na to widowisko z oburzeniem. Nie sąd obywatelski jest tutaj potrzebny, — ale zwykłe władze sądowe, które powinny nareszcie rozstrzygnąć sprawę według kodeksu.

„Kociół garnkowi przygania— ale sam też...smolił”

Eks-premjer Kozłowski, obecnie senator, zrobił się strasznym anty-etatystą. Zrobił się zresztą od niedawna: odkąd nie jest w rządzie. Podkreśla, i ma rację, że przedsiębiorstwa państwowe pasorczytują w znacznej mierze na zbiedniałym docna społeczeństwie, gdyż nie znają obciążeń przedsiębiorstw prywatnych i stanowią dla nich groźną konkurencję. P. Kozłowski przytoczył z satysfakcją zdanie obecnego vice-premjera, który stwierdził, że *jako dyrektor Mościc mógł z łatwością nypisać czek na pół miliona, a jako minister Skarbu uczynić tego tak łatwo nie może.*

Święta racja. Tylko cokolwiek zapóźno ją dostrzegł pan eks-premjer.

Bo znowu pan minister Skarbu, Kwiatkowski, przypomniał mu bez trudu, jak to było za czasów premjera Kozłowskiego: właśnie wtedy liczba urzędników i funkcjonariuszy państwowych wzrosła o 2500 osób, a Państwo puściło w ruch pompę ssącą, przeznaczoną do wypompowania ze społeczeństwa ostatnich rezerw w postaci nowych pożyczek.

La critique est aisée — l'art est difficile.



Jeszcze o uboju rytualnym

Posłanka Prystorowa jest kobietą odważną, byle czego się nie ulęknie. I życzymy jej szczerze, aby przeprowadziła w całej Polsce zniesienie średniowiecznego, antyhumanitarnego uboju zwierząt, abyśmy wreszcie podobni byli pod tym względem do reszty Europy.

Życzy jej tego zresztą cała ludność Polski, *bez różnicy przekonań politycznych*. Prawica i lewica, sanacja i opozycja, konserwatyści i pepesowcy. Naturalnie nie życzą jej tego — ciemne żydowskie masy, ciągnące z barbarzyńskiego proceduru grube zyski.

Więc sprawa prosta, zdawałoby się, i łatwa.

Gdzietam!

Społeczeństwo bowiem wie jasno, czego chce. Ale dotąd nie wie tego — Rząd. A jeśli wie — to nie ujawnia. Aż Cał w „Słowie” wileńskim wyrabiał to, co inni szepcą tylko do ucha:

„Obserwując całą dyskusję w tej sprawie, nypelnioną „sprostowaniami”, „odwołaniami”, „wyjaśnieniami”, dochodzę do przekonania, że RZĄD BOI SIĘ nypowiedzieć swe zdanie w tej kwestji. Kogo się boi? — Boi się jednej ze stron: opinji, żądającej zniesienia uboju rytualnego, czy też wojny wyznaniowej z żydami na tem tle”.

P E R E Ł

Coraz lepiej

W powiecie bocheńskim stwierdzono na szeregu mostów, że ktoś powykręcał z wiązań belkowych duże żelazne śruby. Barbarzyńcy — złodzieje narażają niewinną ludność na najstraszliwsze katastrofy, bo gdyby przestępstwo nie zostało w porę zauważone — (most chwiał się pod przejeżdżającym autem) — wówczas i ten i inne mosty byłyby się zawaliły, pociągając za sobą nieobliczalne szkody materialne i ofiary w ludziach.

Żyjemy w kraju cywilizowanym...

„Ograniczyć etatyzację”!

To hasło rozbrzmiewa po całej Polsce. Tem hasłem — tem jednym właściwie — zakończyła swe obrady „parada” gospodarcza. To hasło i rząd uznał za swoje i wcielić je w życie obiecał.

A tymczasem....

Oslawione „Pezety” czyli P. Z. P. Z., istniejące jakoby w celu regulowania eksportu rolniczego z Polski, skompromitowały się ostatnio eksportem żyta... ale litewskiego.

Myślano ogólnie, że ten ich wyczyn znajdzie gdzie należy należytą kwalifikację. No i podobno znalazł.

Oto jak donosi prasa gospodarcza — „Pezety” mają być przekształcone na... centralę wszelkiego handlu zbożem w Polsce. Słowem — „Polski Monopol Zbożowy”. Żle ci jest, biedny polski rolniku? Poczekaj chwileczkę: będzie ci lepiej. Już się o to „Polski Monopol Zbożowy” postara.

My chcemy motoryzacji!

To powinno stanowić idée fixe każdego polaka w chwili obecnej. W ciągu roku 1935 Niemcom przybyło 240 tysięcy nowych samochodów. *Polsce — niecałe 2 tysiące!*

Kto temu winien? Nie wiemy. Ale tak dłużej być nie może. Nawet Rumunja stoi od nas wyżej. Ale w Rumunji benzyna kosztuje 21 groszy litr.

U nas zaś prawie 4 razy więcej.
Uparty nurek.

PRZEDWIOŚNIE W MALARSTWIE POLSKIM

Ze zbiorów Towarzystwa Zachęty
Sztuk Pięknych w Warszawie.



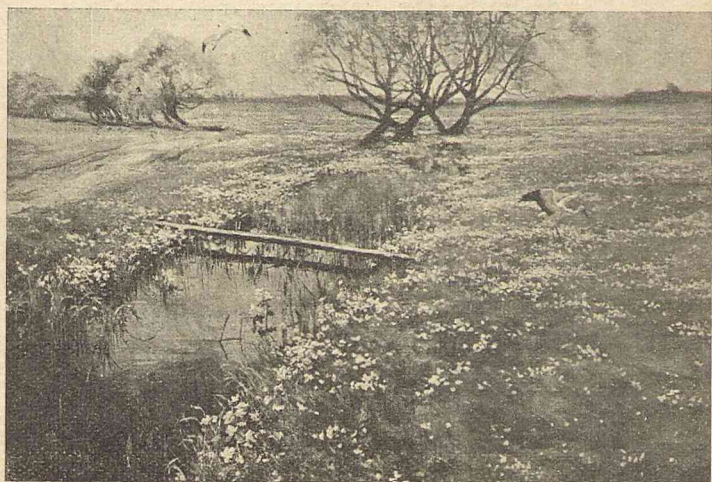
Józef Szmajdański

Gwiazda zaranna



Józef Chelmoński

Bociany



Henryk Weyssenhoff

Wiosna



Stefan Popowski

Wieczór



Włodzimierz Łoś

Rozłopy

KOMEDIA FRANCUSKA W WARSZAWIE

Dwa wieczory. Cztery sztuki.
Sztuki bardzo różne—aktorzy
ci sami.

Rubaszny Moljer ze swemi „Szelmostwami Skapena“, pastelowy Musset ze swemi romantycznymi igraszkami z miłością, filuterny, nieco minoderyjny, lekki w komiźmie, potoczysty w dżalogu Marivaux i wreszcie nowoczesny, współczesny Gerald, oto skala przedstawień, jaką rozwinęli przed nami artyści Komedji Francuskiej w swym błyskawicznym przejeździe przez Polskę. Wizyta gości francuskich była w niektórych kwestjach wprost rewelacyjna. Potwierdziła ona bowiem „stare prawdy“ i uwypukliła „stare fakty“, z których dokładne zdawanie sobie sprawy jest wskazane i pożyteczne zarówno dla artystów, jak i dla kierowników imprez teatralnych. Ujawniło się mianowicie jeszcze raz (wbrew wielu zapewnieniom), że Warszawa kocha teatr, że Warszawa teatrem interesuje się, że Warszawa może zapłacić teatr nawet przy wysokiej cenie biletów! Zapewne, łatwiej jest zapłacić widownię dwukrotnie, niż zapełniać ją stale, choć i to jest możliwe. Warszawa dała egzamin, że interesuje ją *dobry teatr*. To może być wskazówką dla kierowników imprez teatralnych. Nie jest to żadna nowość, żadne odkrycie — jest tylko potwierdzenie starej prawdy. I nie znaczy to, abym chciał powiedzieć, że tylko ten przyjezdny teatr francuski był dobry, znaczy to tylko, że dla *kasy* niekoniecznie trzeba wysyłać na scenę rzeczy słabe czy płaskie. Znaczy to, że jednak nawet szeroka publiczność może i potrafi odczuć i zrozumieć, co jest dobre i wartościowe.

Wszystkie przedstawienia francuskie stały się wydarzeniem artystycznie pierwszorzędem — miały w sobie artystyczną zwartość, doskonałość i precyzyjność wykończenia, co w sumie dawało idealny rezultat: stylu i zespołu.

Te dwie naczelne zalety przedstawień tego typu, jaki nam stworzyli artyści komedji francuskiej, wydobyte były świetnie, dając nam obraz epoki i melodję świetnego manipulowania słowem

□□□□□□□□□□□□

*Artyści Komedji
Francuskiej na
przyjęciu w
Ambasadzie
Francuskiej.*

□□□□□□□□□□□□



Ambasador Francji i pani ambasadorowa Noel wydali przyjęcie z racji przyjazdu artystów paryskich. Na zdjęciu widzimy artystki i artystów francuskich w gronie ich koleżanek i kolegów warszawskich.

Na pierwszym planie p. ambas. i p. ambas. Noel. Wśród artystów polskich widzimy pp. Cwiklińską, Malicką, Panciewiczową, Miłę Kamińską, Romanównę, Smosarską, Lubieńską, Eichlerównę oraz pp. Jerzego Leszczyńskiego, Zelwerowicza, Stanisławskiego, Zbyszka Sawana, dyr. Szyfmana, Świerczewskiego i Ordyńskiego.

przez artystów francuskich we wszystkich życiowych i teatralnych intonacjach.

O doskonałości zespołu świadczył fakt, iż przez oba wieczory nie przyszła nam poprostu ciekawość zadać sobie pytanie i zająć do programu, aby zbadać „który to? kto to reżyserował“?

Bo to właśnie był styl i zespół tego „Maison“ Komedji Francuskiej, tego „Domu Moljera“. Można się z tym stylem nie zgadzać, można go nie lubić, można uważać go za zapełniały — jak kto woli i co wyznaje jako swe artystyczne „credo“ — ale nie może zaprzeczyć największy nowinikarz, czy znawca i mądry człowiek miejscowy, że jednolitość i sprawność wykonania były pierwszorzędne.

Niewidoczność zabiegów o grę zespołową — stanowi wartość zespołu — i to właśnie, jako naturalna cecha gry aktorów francuskich, stanowiło o jej doskonałości. Bo to poprostu leży już we krwi członków rodziny francuskiego „Domu Moljera“.

Drugą zaletą i cechą przedstawień francuskich był kult słowa, kult dykcji. Pod tym względem

mogli być oni wzorem dla wielu naszych młodszych i młodych artystek i artystów. Żaden dźwięk, żaden akcent, żadna litera nie ginęła w ich interpretacji. Umiejętność rozporządzania swym materiałem głosowym jest w teatrze francuskim wyjątkowa. Aktor wiedząc, że w akcji drugim czy trzecim ma „wybuchnąć“ tyradą, czy monologiem, że musi w tempie karabinu maszynowego sypać słowa dżalogu, wie, że te słowa muszą grzmieć, huczeć, syczeć lub smagać. Wie, że nie wolno się zahaczyć, że nie może zabraknąć oddechu, że wszystko musi być zrozumiałe, bo ta scena często świadczy o charakterze typu, bo ona często stanowi pointę sztuki. A wiedząc, że go to czeka — nie sforsuje głosu wcześniej, skupi swe siły wokalne, skoncentruje wszystkie umiejętności tonacyjne i wybuchnie nie lyanem słowami — lecz najwyższego gatunku wysłowieniem się i wydobyciem całej magji — jaką zawiera piękno słowa, odpowiednio wypowiedzianego.

To samo dotyczy intonacji; patos aktorów francuskich ma w sobie mimo wszystko moc prze-

konywującą, ich liryzm ma wdzięk naturalności i nie razi sztuczną prostotą — te właściwości są poprostu cechami ludzi wychowanych w kulcie dla mowy ludzkiej. To nie są zalety — tak jest poprostu — tak jak wielu ludzi, którzy bawili się „w konie” za młodu na froterowanej posadzce, dziś nawet w niemodnym fraku nie poślizgną się w reprezentacyjnych salonach, co czasem może się przytrafić temu lub owemu... świadomemu swej ważności dygnitarzowi.

Dzięki tym naturalnym właściwościom artystów francuskich dwa wieczory, na których na każdym ukazano nam po dwie sztuki, upłynęły niezwykle szybko, nienudząco i trzymając nasze zainteresowanie od początku do końca w napięciu.

Gra zespołowa — nie jako wysiłek reżysera, ale jako naturalny nakaz wewnętrzny artystów, kult słowa, piękno dykcji i styl właściwy, nie stanowiący tła, lecz występujący niemal jako główna persona — dramatu, oto cechy, które nam w doskonały sposób zademonstrowali artyści francuscy.

Wśród artystów francuskich, jakich poznała Warszawa, bezwzględnie na pierwszym miejscu stał Denis - d'Ines. Artysta ten roztoczył przed nami szeroki zakres swoich możliwości. Ukazał nam świetnie skonstruowaną groteskę w roli Geront'a w szelmostwach Skapena. Wielki umiar powstrzymał go od jakiegokolwiek szarży, a mimo to był porywająco komiczny i zabawny, w jednoaktówce Gerald'y dał koncert prostoty, naturalności i sentymentalizmu lepszej próby, jako sztywnawy, stylowy mariz. W Mussetowskim: „Nie igra

się z miłością” — był stylowy, charakterystyczny, konwencjonalny, a wszystkie te cechy tak umiejętnie, tak dyskretnie zespolił, że postać jego była i żywa i „poprostu portretowa”. Jean Weber jako amant we wszystkich rolach był pełen zapału, polotu, mówił pięknie, zaprezentowując się jako świetnie zapowiadający się artysta większej miary.

Z pań Germaine Rouer wyka-

zała subtelność, intuicję, świetną dykcję i inteligentne opracowanie swych postaci. Wszyscy pozostali: Brunot, Dux, Lafon Jeanne Sully, Marcelle Gabarre, Jeanne Faber, Le Marchand. Claude Lebman, wykazali doskonałą szkołę, jednolitość stylu i kult słowa, którym każdy umiał się posługiwać jako główną bronią, głównym atutem artysty dramatycznego.

L. Ch.

Teatr Narodowy: „Mieszczanin Szlachcicem”

Moljera. Reżyserował A. Zelwerowicz

Zelwerowicz,
„pan Jourdan”,
wysmiany i wy-
krzyczany przez
żonę (p. Janecka)
i Michasię (Żab-
czyńska).



W teatrze Narodowym wystawiono komedję Moljera — „Mieszczanin Szlachcicem”. Ta satyryczna komedja pełna ironicznej finezji jest niezniszczalna — bo wyśmiewa snobizm ludzki, pięcie się do „wyższych” form towarzyskich, półpankowatość i pyszałkostwo. Jednym słowem — głupstwo ludzkie, i to to głupstwo, które po przez wieki tylko formę zmienia, ale jest to samo. Ileż to panień, prowadzących jakiś pensjonat, stołownię czy inne przedsiębiorstwo robi to tylko „chwilowo”, bo dziadzio był senatorem i posesjonatem, a

dobra zostały „po tamtej stronie granicy”. Czyż nie zdarzają się takie typy, jak chłopaczek wychowany w obskurnym mieszkanku warszawskim dobijający się stanowiska „chargé d'affaires” a nawet posła i nagle... przypominający sobie, że pochodzi niemal od królów węgierskich. Chępi się tem pochodzeniem więc młodzieniec więcej, niż swą pracę dyplomatyczną.

Czyż nie zdają się ci zбогaceni podskakiewiczze, co prababci i pradziadzi szukają na Świętokrzyskiej? Cóż więc dziwnego, że moljerowski pan Jourdain za każde zdanie zaadresowane doń per „jaśnie panie” rzuca dukaty zarozumiałej ekstazy.

Te ludzkie, te niezniszczalne cechy komizmu i przywary ludzkiej sprawiają właśnie, że tak czy inaczej pojęta komedja Moljera, nie może jednak burzyć tekstu. Bo ironja tego tekstu jest tak bogata, że może bawić i będzie bawić zawsze, słynne Jourdainowskie stwierdzenie „40 lat żyję i nie wiedziałem, że mówię prozą” — stanowi jakby pieczęć probierczą gatunku tej złośliwej ironji — jaką sztuka jest naszpikowana. Kiedy lat te-



Piaskomska
i Frenkiel w roli
pary „arystokra-
tów”.

mu kilkanaście widziałem go w Paryżu — śmiałem się i bawiłem doskonale. W ujęciu reżyserskiem Teatru Narodowego w pierwszej części nużył, a dalej „śmieszył” — ale śmieszył groteskowością strojów, farsowatością gry, arlekinadą całości. W tem ujęciu zginęła ironja i subtelność powiedzeń moljerowskich. Poprostu mistrz tempa, jakim jest w swej reżyserji Żelwerowicz, przeładował szczegóły zewnętrzne. Płaski komizm królował. Pan Jourdain nie powinien śmieszyć sali wskutek tego, że grający go aktor jest wielki, tęgi i że ukazuje się w negliżu — to jest zabawne, ale to nie powinno być *głównym akcentem* komizmu p. Jourdain. Takie efekty mamy w najbardziej płaskich farsach. Obnażanie męskich dekoltów zawsze wywoła śmiech — ale nie jest niezbędne zdobywanie takiego śmiechu dla tej właśnie komedji Moljera.

Bogactwo kostiumów, groteskowa szarża nauczycieli fechtunku, tańca, muzyki, filozofji to wszystko stworzyło odrazu monotónję hulaśliwego komizmu, najwyższe cis arlekinada

Z TEATRU ATENEUM

W teatrze „Ateneum” znakomity artysta Stefan Jaracz, od szeregu tygodni w roli „Pana Geldhaba” Fredry.



dy i to wszystko razem nużyło i drażniło. A szkoda — bo jeśli chodzi o Żelwerowicza, jako wykonawcę p. Jourdain, to miał on swe wewnętrzne ciepło, bezpośredni humor i tę jemu właściwą umiejętność zadzierzgnięcia kontaktu między sceną a widownią. Tylko że wykonawca p. Jourdain za dużo jest na scenie, aby mógł jednocześnie bez zarzutu stworzyć, przeprowadzić całość Mieszczanina-Szlachcicem. Wielokrotnie już zaznaczałem, że reżyserowanie sztuki, w której się gra główną rolę, rzadko, niezmiernie rzadko całej sztuce na dobre wychodzi.

W teatrach polskich reżyserowie zajęli tak wybitne stanowisko, o tylu sprawach decydują, tak często ma się wrażenie, że nawet wybitny aktor marzy raczej o laurach... Średniego reżysera, że nie widzimy potrzeby, aby kontynuować to nieporozumienie.

Na tem tle ogólnego ustawienia sztuki wykonanie niemal wszystkich artwstów obciążone było jednym grzechem — grzechem nadmiernej groteski. Trudno w tych warunkach wykonanie to poszczególnie ocenić. Kiedy ktoś wykona nawet „z uczuciem”, nawet dobrze technicznie koncert fortepianowy, ale przez pomyłkę gra cały czas z pedalem, to trudno wdawać się w ocenę poszczególnych walorów wykonawcy. Wśród całego zespołu udaje nam się jednak wyłowić; Kleonta — Kreczmara, inteligentnie i bez afektacji recytującego swe miłosne tyrady, Dorymenę — Piaskowską, dbałą o cyzelowanie dykcji i estetykę pozy, Solarskiego i Frenkla. Woskowski — dał zabawną groteskę, ułatwiając sobie komicznym jakanem, w którym ginęły często ironiczne akcenty moljerowskie. Janecka — była już nazbyt „prosta” w tem otoczeniu — nie był to obraz „chłopskiego czy mieszczyńskiego” zdrowego sensu, ale zwykłych wrzaskliwych manier. Żabczyńska, mająca naturalny i rzetelny liryzm w swym talencie, w roli hulaśliwie śmiejącej się Michasi starannie robiła, co mogła. Dekoracje Daszewskiego pomysłowe kolorystycznie, ale w tak dancingowem bogactwie nawet p. Jourdain nie wytrzymałby czas dłuższy, a cóż dopiero pani Jourdain i Michasia. Gdyby tam stałe mieszkaly i p. Jourdain prze stałby je razić.

L. Ch.



Kreczmar i Żeliska jako Kleont i Lucylla.

Co każdy Polak jadący zagranicę wiedzieć powinien?

Polski Instytut Współpracy z Zagranicą wydał broszurę p. t. „Co każdy Polak jadący zagranicę wiedzieć powinien”. Jest to drugie wydanie publikacji, zawierającej najważniejsze dane z życia Polski współczesnej, a mianowicie informacje dotyczące stanowiska Polski w rodzinie narodów, podstaw ustroju Polski, zagadnień społecznych, gospodarczych, dorobku polskiego w kulturze i cywilizacji, wiadomości turystyczne oraz praktyczne wskazówki dla Polaków udających się zagranicę.

Broszura „Co każdy Polak jadący zagranicę wiedzieć powinien” będzie bezpłatnie załączana do paszportów zagranicznych.

OD REDAKCJI.

Zauważyliśmy z przykrością, że w części nakładu numeru 10-go „Świata” przy łamaniu opuszczone zostało nazwisko autora artykułu „Z życia dawnej Warszawy”. Jest nim znany krytyk muzyczny p. Franciszek Brzeziński, któremu wieloletnia przyjaźń z domem Grossmanów dała materiał do tych ciekawych wspomnień.

Czytelnicy nasi znaleźli nazwisko Fr. Brzezińskiego w spisie autorów na okładce, niniejszem więc tylko uzupełniamy mimowolne przeoczenie, które spowodowało brak nazwiska autora przy artykule.

KOBIETA — I BASTA!

P O W I E Ś Ć

Każdy nowy prenumeratorem „Świata” otrzyma początek powieści Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej „Kobieta — i basta”, której druk rozpoczęliśmy w listopadzie.

Marta wobec tego pana Andrzeja Grzesika nie zaangażuje. On przecież sam powinien to zrozumieć, że ciężka praca przy dekoracjach nie dla niego. Ale niech się nie martwi. Zaraz tu się jakaś inna, lżejsza robota dla niego znajdzie.

Nie, nie u pani Tarasowicz, ale u pana Chłopskiego.

Pani Tarasowicz uczynna jest kobieta — to prosi siedzieć, częstuje go herbatą i chlebem z szynką, a sama wychodzi do drugiego pokoju, by napisać list do tego pana Chłopskiego, co ludzki człowiek jest i napewno chorego dekoratora nie opuszcza.

Pan Grzesik je. Ledwie uchwyci zębami chleb, zaraz go łyka! Głodny jest — nie ma czasu na to gryzienie. Pani Tarasowicz nie widzi go z drugiego pokoju, to weźmie jeszcze jedną bułkę i jeszcze jedną łyżkę cukru wsypie do herbaty. Potem ręką wytrze usta i westchnie. Co z tego, że podjadł sobie dziś, kiedy jutro pewno znów głodny będzie? O pracę trudno... A tak się cieszył, że z tą panią dekoratorką, jak wprowadzi, popracuje, że jak wprowadzi, pochwalą go ona za robotę i że, jak wprowadzi, o zarobek w dyrekcji pyskować dla niego będzie.

A tu, psiakrew, zawód! Pani Tarasowicz chorego wiać nie chce. Idź więc znowu, człowieku, na tułaczkę, od drzwi do drzwi, i proś, i turboj się, i męcz...

Dobra jest ona kobieta, ale w dostatku chowania, to biedy i bezrobocia wyrozumieć nie może. O... jak to ona mieszka! Jakże to ona ma meble! Jakże dywany! Jak na scenie!

Daje ona ten list na plac Napoleona. Wiać do ten list można i ten drugi do doktora też — czemu nie?. Ale wiadomo, że i nawet ten pan Chłopski w obecnym czasie zajęcia człowiekowi nie znajdzie, a doktor samem lekarstwem nie uzdrowi.

Bierze więc oba listy w dwa palce i kłania się od drzwi. Pięknie nawet dziękuje, ale w duszy urazę czuje.

„Pani, psiakrew... pani.. Tłusto sobie zje i na cienkich prześcieradłach sypia, to nigdy dla człowieka wyrozumienia mieć nie będzie...”

Aż dziw, że w przedpokoju nie schwyci tego futra z wieszaka i nie przerzuci go przez ramię (udając przed dozorcą czeladnika kuśnierskiego, co to do przeróbki futro niesie do majstra, do pracowni).

Dobrze, że tego nie robi, bo tymczasem pani Tarasowicz jeszcze wychyli głowę z za drzwi od pokoju i jeszcze upomni, żeby zaraz, nie zwlekając, siedł do tego pana Chłopskiego! I żeby jutro doniósł o tem, co ten pan Chłopski powiedział.

*

Kowalski, drugi dawny pomocnik Marty z F. D. O., ma zdrowie naschwał i aż mu się oczy śmieją do pracy. Sprytny jest i robotny, to przez całe lato głodu nie zaznał. Zwiedzał się zawsze

wporę o robocie i nastał do malarzy pokojowych. Sufity z nimi malował, pokoje odnawiał a klatki schodowe.

Marta go lubi. Człowiek to jest energiczny, zdolny, pracowity, bystry, w lot się w pracy orjentuje. I rutynista jest dobry, znający się na rzeczy od lat dziesięciu! Z niejednego on już pieca chleb jadł i samego Drabika przy pracy oglądał!

Więc Marta go do pracy angażuje.

Pan Kowalski z tego rad jest. Lubi on tę panią Tarasowicz. Kobieta jest mądra, rozum swój mająca i pomysł dobry. Czasem jeszcze niecałkiem się ona w pracy orjentuje: — „Panie Kowalski (mówi wtedy ona), niech pan będzie tak dobry i powie mi, jak to zrobić? Jakże w takich wypadkach farby są lepsze, te, czy tamte?”

Albo też znów — „Mój panie Kowalski, ja pierwszy rok w teatrze pracuję i doświadczenia nie mam, niech mi pan poradzi, czy te cienie jeszcze podkolorować, czy nie?”

Kowalski lubi panią Tarasowicz za to wszystko! I za to jeszcze, że ona rękę mu podaje i siadać go prosi i za równego uważa! Ona, taka uczona za granicą, kobieta, co to teatry widziała i we Wiedniu i w Paryżu, rozmawia z nim o tej przyszłej pracy w teatrze im. Wyspiańskiego i papierosem go częstuje!

Szasta więc nogami, delikatnie popiół z papierosa w rękę zsypuje i rozmawia starannie dobierając wyrazów, aby te jego słowa inteligentnie wyglądały...

Do pomocy ma dostać zamiast chorego Grzesika pana Raczkowicza (tego, co to Janek na niego woła pan Chłopski). Ten Raczkowicz ma talent! Do Akademii chodzi. Do klasy dekoracji teatralnej i wnętrz. Indeks studencki nosi przy sobie. I panicz jest. Pani Tarasowicz mówi, że on stopnie ma bardzo dobre i że wielki z niego będzie człowiek!

Pan Kowalski rad jest, że z takim pracować będzie i takiemu przewodzić doświadczeniem i od takiego większe może wynagrodzenie pobierać!

Marta opowiada o tem, co mówił dyrektor teatru im. Wyspiańskiego. O repertuarze, o tym „Cydzie, Romansie Florenckim, Don Juanie, Salome”...

Pięknie! Prawie wszystkie te sztuki już on pomagał dekorować! Oho! Pamięta świetnie, co w którym akcie były za stroje i dekoracje. Treści oczywiście nie pamięta, bo nigdy na przedstawieniach nie bywał, a na próbach nie miał czasu słuchać. — Ale co do kostjumów i dekoracji — to on je w głowie ma dokumentnie.

Pani Tarasowicz chce zrobić inne? Nowe? Swoich własnych pomysłów? — Oho! To jeszcze nie wiadomo, jak z tem będzie! Niech no ona nie myśli, że jej, takiej młodej dekoratorce, dadzą to wszystko do roboty. Napewno nie! Te największe sztuki otrzyma sławny Rubowicz, albo rów-

nie znany jego pomocnik Dzimicz. Pani Tarasowicz napewno będzie miała czasem coś później, dorywczo! I on, wtedy pomoże! Narazie jednak odnowi to mieszkanie przy ulicy Hożej, jedno przy Nowogrodzkiej i jedno na Pradze.

Jest kryzys i każdą robotę trzeba brać, nie przebierając. I pani Tarasowicz też on radzi oprócz tego teatru do czego innego się wzięść. Choćby do projektowania wystaw sklepowych! Choćby do wzięcia udziału w konkursie propagandowym, jaki rozpisało tam jakieś ministerstwo! Można tam wzięść w tym konkursie pierwszą nagrodę, jednego tysiąca! Albo którą z czterech innych nagród po 500 i 250 złotych.

Pan Kowalski z duszy serca tak radzi, a tymczasem żegna, pięknie kłania się od drzwi raz i drugi i wychodzi.

*

Ten pan Chłopski narazie żadnego zajęcia nie mógł dać Grzesikowi, ale kazał mu przyjść codzień na obiad i dał mu 5 złotych za zrobienie porządku z temi farbami, blejtramami i pendzlami.

Chodzi więc codnia Grzesik do pana Chłopskiego i co dnia dostaje talerz zupy, do której mu panna Marylka wkrawa dobry kawał mięsa. Zatracił w tej biedzie pan Grzesik swoją uczciwość — to i nieraz 10 groszy z portmonetki, leżącej na kuchennym stole, buchnie i zamiast o pracę prosić, zebrze teraz u pana Chłopskiego o te stare buty, starą koszulę, albo i o to spanie na sienniku w pracowni.

Czasem zaniesie jakiemu maljarzowi obrazek do ramiarza i za to dostanie coś w łapę. Czasem do modela pójdzie z zamówieniem i za fatygę 20 groszy mu dadzą. Czasem na ulicę ta głuchoniema malarka go wyśle z jednym albo i dwoma obrazkami na sprzedaż.

Serce jego leczone przez doktora z ulicy Pięknej tego się spisuje i jakoś tam żyje się jemu z tego dnia na dzień. Tylko do pani Tarasowicz prebitytensję pan Grzesik ma o tę pracę dekoracyjną, którą mu mogła dać, a nie dała. Taka, owaka... lafirynda... Z człowieka uczciwego, z rzemieślnika fachowego — łachmaniarza zrobiła.

*

Tymczasem, pani Tarasowicz tak samo jak Grzesik bez zajęcia stałego jest. Co tygodnia chodzi do dyrekcji teatru im. Wyspiańskiego, co tygodnia o pracę pyta i tej pracy nie dostaje! Wyśiaduje długie godziny na wyplatanych krzesłach, stojących rzędem w poczekalni, niepokoi się, modli do św. Tereski, liczy upłynione w bezruchu minuty oczekiwania, posyła przez woźnego bilety do gabinetu i... czeka.

Czasem dyrektor jest tak bardzo zajęty, że nawet nie ma czasu jej przyjąć. Czasem przyjmuje ją, trzymając w jednej ręce słuchawkę telefoniczną, a w drugiej ołówek, szybko coś notując. Czasem robi jej nadzieję na najbliższą przyszłość. Czasem odsuwa tę nadzieję na miesiąc lub dwa... Czasem jest już zniecierpliwiony i woła, że nie lubi „jak ktoś go do muru przyciska“ i ktoś mu „po piętach deptać“. Czasem obiecuje dać do dekorowania nową sztukę już zaraz, w przyszłym tygodniu, byle tylko ta dekoracja stanowiła „tło

dostosowane do psychiki utworu“ i była tworzona w porozumieniu z autorem i reżyserem nietylko teoretycznie, jak to mają we zwyczaju czasem wielcy, zarozumiali dekoratorzy, na których dyrektor po premierze wczorajszej jest poprostu wściekły!

Marta schodzi po teatralnych schodach jednego dnia rozpromieniona i pełna nadziei, drugiego dnia — wlecze się po tych schodach zdenerwowana i bliska płaczu.

Oto wczoraj naprzykład kazano jej przynieść kilka projektów dekoracyjnych do pokazania i te projekty jej chwalono, podczas kiedy dziś uśmiechnęła się z niej w poczekalni serdecznie, że bierze te pochwały za dobrą monetę. Cóż to? Ona nie zna dyrektora? Cóż to, ona nie wie, że dyrektor jest chory na żołądek? I zależnie od stanu funkcji żołądka skręca się w trybach bóleści i złych nastrojów kryzysowych, to znów oddycha z ulgą i gotów jest realizować wszystkie zamierzenia literacko-naukowe!

Ona tymczasem bierze pieniądze od ojca i jakoś tam żyje z dnia na dzień w tem rozgorączczeniu i niepewności, tak jak... pan Grzesik.

Oczywiście, gdyby Emil był zdrow, już dawno oboje dekorowaliby „Sen srebrny Salomei“, ale ponieważ Emil jest chory... Chory naprawdę, chory bez udawania, chory w najbarlziej nieodpowiednim na chorobę czasie, chory w najlepszym sezonie teatralnym!

To trzeba mieć poprostu pecha! Emil gorączkuje, kaszle, patrzy na zalane deszczem szyby i wścieka się. Pisze podania o bezzwrotne pożyczki, naciąga starego Chłopskiego na wytrawne wino i wyśmiewa Martę „tę babę“, której w głowie się przewróciło, że będzie dekoratorką jednej z pierwszych scen w kraju!

*

Tydzień temu ojciec pierwszy raz odmówił Marcie pieniędzy, bo go pacjenci naciągnęli i nie dali ani grosza!

Trzy dni temu stryjenka Tuta przez telefon oznajmiła siostrzenicy, że dłużej już tej nędzy nie wytrzyma i rozwiedzie się z mężem, który podobno... ma się podać do dymisji wraz ze wszystkimi członkami zarządu! (Ładne czasy, co?)

Przedwczoraj mama zrobiła awanturę o to kosztowne komorne jej oddzielnego mieszkania!

Wczoraj Marcie ofiarowano na wystawie zaledwie 40 złotych za tę „Ruderę Kazimierską“! (Prawie tyle, co koszt płótna i farb).



PUDER

NIERÓWNY
pod względem
jakości składni-
ków, subtelnie
powiązanych.
Dobrze przylega
do naskórka, na-
dając cerze aksa-
mitną gładkość.

Colette
GELOBIL

LABORATORIUM CHEM.-FARM.
J. GESSNER WARSZAWA





Dzisiaj rano w pracowni Chłopskiego zastała aż trzech znanych malarzy, malujących tego samego modelu, bo biedaki nie mają swoich własnych pracowni.

Dzisiaj wieczorem wyczytała w gazecie, że Zahorski strzelał do siebie i że Pogotowie przewiozło go do szpitala Dzieciątka Jezus w stanie ciężkim. Ten zdolny Zahorski! Widzi go jeszcze w Kazimierzu, jak włóczy się po deszczu i poprzez strugi wody maluje wyboje, chodniki z krzywych desek i dzieciaki z wydętymi brzuchami, przegłądające się w kałużach wody. Dachy jego akwarel błyszczą od deszczu i schody od wilgoci!

W tej samej gazecie wyczytuje jeszcze, że niejaki Andrzej Grzesik, zamieszkały przy placu Napoleona Nr. 7, w mieszkaniu znanego malarza Chłopskiego, wyszedł dwa dni temu z domu i więcej nie wrócił. Wraz z nim zniknęły ubrania i różne rzeczy pana Chłopskiego.

Kryzys... Ludzie kradną, popełniają samobójstwa, kłóca się, robią świństwa i świństwka, gryzą siebie i innych... I wszystko przez ten kryzys!

Jest źle. Jest beznadziejnie źle! Zapewne gdzieś indziej na świecie jest lepiej, ale w Polsce jest źle, jest bardzo źle!

Zapewne... Jurek Lipowski inaczej żyje. Zbiera za swą pracę nietylko okłaski, ale i tysiąca franków, ma swoją willę nad morzem i funduje nagrody swego imienia dla młodych dramaturgów...

Czyż tak?

Właśnie w tej chwili na ulicy spotyka Marta reżysera dawnego teatru F.D.O., który donosi jej, że wszędzie jest źle, nietylko w Warszawie. Że i w Wiedniu teatry robią „plajtę” i w Paryżu sztuki pierwszorzędných autorów robią „klapę”, naprz. ta ostatnia rzecz George’a Lipovsky’ego zeszła po trzech dniach z afisza, pomimo że dawne jego sztuki „Les combattants”, „Les sourire de Marie Antoinette”, a najwięcej ten „Prometeusz Nr. 1502” niezwykle odniosły sukcesy. Tak... Marta teraz już wie, że i Jurek ma swoje złe „passy” w tych kryzysowych czasach!

Jak on to znosi? Czy też robi świństwa i świństwka? Czy mści się, gryzie i podstawia nogę innym? A może ugina się pod ciężarem niepowodzeń, które go łamią, miażdżą i doprowadzają do rozpacz?

Nie.

Nie! Jurek jest silny, wytrwały, zawzięty, prawdziwy mężczyzna. Mężczyzna w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu.

A ona — Marta? Czy będzie małą, bezradną

kobietką, która płacze, woła pomocy i ratunku? O Marto! Przecież chyba nie wrócisz na Wilczą, do swych rodziców i nie będziesz sypiała u nich w stołowym pokoju? (bo salon mama odnajęła). Ani nie przyjmiesz posady w Banku Centralnym za 150 złotych miesięcznie, rzucając w błoto swoje aspiracje artystyczne? Ani nie wyjdiesz za pana Szenkera, szukając w jego ramionach spokoju?

Nie, ty tego wszystkiego nie zrobisz. Przecież przy badaniach psychotechnicznych wykazałaś wielką wytrwałość, cierpliwość i gorliwość w pracy... Więc musisz sobie dać radę. Musisz być dzielną kobietą i musisz sama sobie wywalczyć byt i niezależność!

Musisz się jakoś ratować! Musisz wpaść na jakiś pomysł! Musisz założyć na własną rękę jakiś warsztat pracy!

Co to będzie, jeszcze sobie nie zdajesz z tego sprawy. Masz na razie pomysły szalone, niekonkretne, nieracjonalne! Odrzucisz je! Będziesz szukała nowych, realnych, mogących mieć widoki na przyszłość.

Oh... Marto. Już nie jesteś apatyczna i zgnębiona. Masz cel, do którego dążysz. I... nie tracisz szacunku dla samej siebie! To dużo znaczy.. Więcej, niż mogłoby ci się zdawać tak narazie, na pierwszy rzut oka...

„SIEDEM KRÓW TŁUSTYCH“.

Pan Bruno Szenker dłużej tego nie zniesie i na nosie grać sobie nie pozwoli. Zaraz dziś pociągiem o 7-ej pojedzie do Łodzi i oświadczy się Hertnerównie, z którą rodzice już oddawna go swatają. Stary Hertner ma dwie fabryki, których bilans handlowy w czerwcu roku bieżącego zamknięty został saldem dodatniem. (Ojciec Szenker badał księgi handlowe i nie ma co do stanu ich żadnych wątpliwości). Więc... Więc pan Bruno Szenker przynajmniej teraz ojcu rację, że dziewczynę za żonę powinno się brać tylko ze swego środowiska! Kochanki można wybierać ze sfer drobnego mieszczaństwa, inteligencji, lub nawet ze sfer artystycznych (byle tylko były zdrowe i niekosztowne) — ale żony nigdy! Ojciec ma rację! Ojciec ma nos do interesu i ojciec ma głowę na karku. — Więc ojca trzeba słuchać i raz nareszcie na tę całą Martę gwizdnąć.

Pan Bruno Szenker tak postanawia i porusza się gwałtownie na krześle. Pan Adam, który właśnie w tej chwili goli jego fałdziste podbródki — jest tem poruszeniem przerażony. Całe szczęście, że pan Adam — to jest Pan Adam! Całe szczęście, że firma, w której tej chwili goli się pan Bruno Szenker, jest pierwszorzędną firmą w Warszawie, więc o zacięciu różowego namydlonego policzka mowy być nie może!

Na szczęście!

(Dalszy ciąg nastąpi).



OD WARSZAWY DO SZANGHAJU

PODRÓŻ W TOWARZYSTWIE

Z Benares wyjechaliśmy nie sami, a w towarzystwie drugiego motoru B. S. A. Motoru? Trudno naprawdę powiedzieć, czy to był motor. Stary model 150 cent. sześć, z lampą karbidową zamiast reflektora i śmiesznie małym zbiornikiem. Na tę taratajkę siedli: młody doktor z Bengalii przy kierownicy z kilkunastoletnim braciszkiem na bagażniku.

Zgłosili się przed stacją benzynową, radzi z towarzystwa, bo straszne czarne tygrysy i niedźwiedzie wychodzą na drogi Bengalii. Jadą do Calcutty, my też. Mają zamiar zrobić Benares — Calcutta w dwa dni, my też. Zgadza się. Ruszamy razem.

Na przedmieściu doktor przypomina sobie, że musi zajechać do swego przyjaciela po aparat fotograficzny. Prosi zaczekać chwileczkę. Czekamy w upale małą godzinę.

I zaczęło się.

Opowiada, że zna drogę świetnie. Kieruje nas na most kolejowy, gdzie po półgodzinnym postoju na słońcu dowiaduję się od strażnika, iż tędy przejazd jest wzbroniony i nigdy nie istniał. Mamy wracać na ponton.

Wracamy. Przejeżdżamy go z wdziękiem. Jest trochę piasku na wjeździe. Nasz towarzyszy grzebie się tam długo. Ruszamy naprzód, by odpocząć nad wodą.

Kapię się w strumieniu i już zaczynamy jeść dynię, gdy zjawia się terkocząc mały B. S. A. Dałam hindusom po kawałku dyni. Zjedli certując się, ale z apetytem. I potelepaliliśmy się da lej.

Sytuacja wręcz tragiczna. Jego szybkość maksymalna nie przekracza dwudziestu pięciu kilometrów na godzinę. Wlokąc się dwadzieścia, nie będziemy mieli światła na noc. Robimy tak. Wyrwamy naprzód i czekamy jakies pół godziny, minui nadjadą.

Wreszcie zapadła noc i nie zrobiliśmy właściwie prawie nic. O godzinie jedenastej dobiliśmy nareszcie nad rzekę Sone. Znów

blądzenie. Ciągłe pytanie się o przejazd. Wjeżdżamy na stację kolejową.

Niema rady. Przejechać mostem nie wolno. Motory transportuje pociąg. Można zaraz dostać lorę z lokomotywą — to kosztuje dwadzieścia złotych od wozu. Ale chef de gare robi nadzieję,

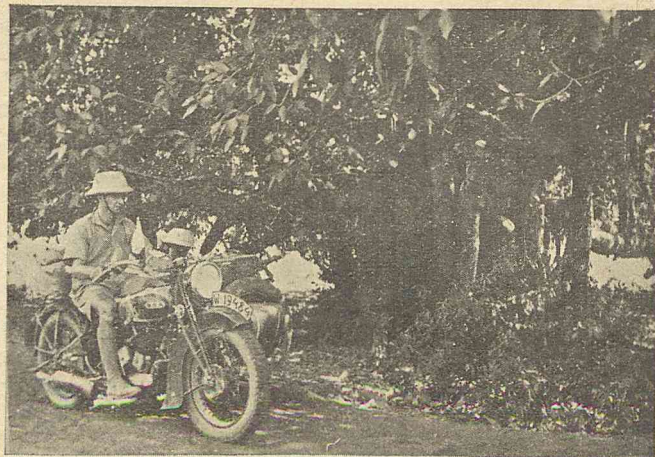


Wieża w dżungli Bengalii.

że za pół godziny może się uda przewieźć nas pociągiem po sześć złotych od sztuki.

Telefony. Bieganina. Szoferzy znikli w ciemnym budynku stacji. Ja zostałam rzucona na pastwę hinduskiego szczeniaka. Pakuje się na motor bez pytania i ceremonji i zarzuca gradem pytań.

Ile mam lat? co robię? kiedy wyszłam zamaż? czy miłość w Polsce jest przed ślubem, czy po ślubie? Jak wygląda uroczystość weselna? i t. d. Cała litanja bzdur.



W cieniu Świętego drzewa.

A mnie się chce spać. Odpowiadam mu pytaniami na pytania, lub udaję, że nie rozumiem. Wreszcie odrętwiałam w ostentacyjnym milczeniu.

Przychodzi mój chłopiec ze złą wieścią. Nic nie da się zrobić. Jedziemy oddzielną lorą, gdy linja będzie wolna. Hindusi pierwszym pociągiem. Mamy się spotkać z drugiej strony rzeki.

Motor wtoczył się na lorę. Zabrzęczały łańcuchy. Stał unieruchomiony. Mój chłopiec znika znów na długo, bardzo długo.

Leżę w wózku, oczy utkwione w gwiazdy. Zatracam poczucie czasu, miejsca, przestrzeni. Śpię na jawie. Zawędrowałam po mlecznej drodze na Marsa, skacząc przez gwiazdy, jak przez kamienie strumyka.

Nagle wraca przytomność.

Czuje, że gwiazdy i światła zmieniają miejsce. Wagon bezszelestnie posuwa się naprzód. Toczy się coraz prędzej do głównego toru wprost w czerwone ślepie lokomotywy, zbliżające się z zawrotną szybkością.

Krzyknęłam: — hej! — z całej piersi, by przywołać jakiegoś strażnika toru. Cisza. Raptem znów staje. A z pod lory jak duchy wysuwają się kulisi. Och, byłam zła.

Wreszcie i nas gdzieś po północy zabrała lokomotywa. Wagon szarpnął, jęknął. Zaczeliśmy wekslować wtył i wprzód. Lokomotywa pluje i sapie na twarz, ubranie.

Znów zabręczały łańcuchy. Prowadzimy pociąg przez most. Sone. Długo, długo ciągnie się gietki, żelazny most. Dwie, może trzy mile. A w dole srebrnym blaskiem kusi szeroka, rozlana woda. Miraż księżycy na białym piasku suchego łożyska.

Wąską, czarną taśmą odcina się resztkę prawdziwej wody od uludy przejasnej.

Znów wekslowaliśmy po niezliczonych torach wtył i wprzód, wprzód i wtył. Brutalnie uderzyła lora o nasyp zjazdu. Wyładowaliśmy.

Doktór z motocyklem już czeka. Braciszka wyekspedjował pociągiem.

Wlecemy się. Zaczyna zarzucać świece z tej karawaniarskiej jazdy.

Stajemy na mostku. Usiłuję jeść. Przez gardło nie lezie. Spać, tylko spać, choćby na środku drogi.

Mój chłopiec długo pracuje przy świetle lampy naftowej. Świece oczyszczone. W drogę. Zwijam koc, rondelki pakuję do wózka, wciąż coś gubiąc i zapominając.

Jesteśmy już w Bengalu. Nie widać nic. Księżyc się skrył. Mamy jeszcze tej nocy jechać przez dżunglę. Trzymam karabin w ręku i śpię. Głowa tłucze o bańkę z benzyną. Biedne moje topi.

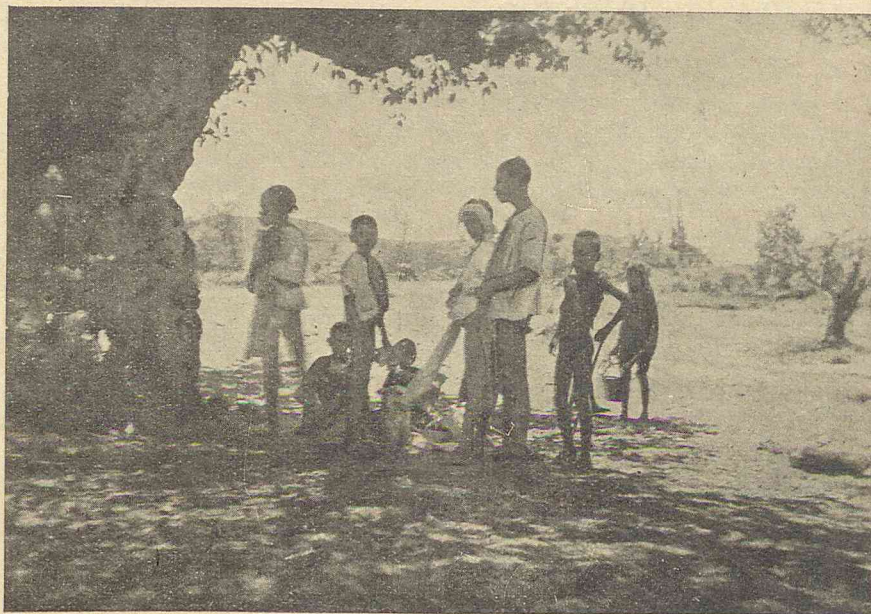
Budzę się chwilami przerażona, śniąc, że wypadam. Jak oni obaj mają siły utrzymać się na siodełku. Tego nawet przez sen zrozumieć nie mogę.

Wreszcie świta. Przecieram oczy. Zmuszam się do patrzenia wkrąg drogi.

Inny kraj. Inni ludzie, chaty i wsie. Ziemia brunatna zorana. Trochę skał dalej, jakby rzuconych przypadkiem. A wzdłuż drogi palmy daktylowe nastroszone, czubate. Daktyle są złote, ale twarde jeszcze, jak żółędzie.

Chaty. Uczesane grzecznie strzechy, półkoliste, wsparte na słupach ganku. Wszystkie budowane z ciemnego drzewa o płowej, słomianej czuprynie.

Kobiety są śmigłe, brunatne o podłużnych, słodkich oczach, bar-



Ciekawość dzieci hinduskich jest na terenie całych Indyj równie wielka...

dzo często błękitnych. Czerwona kresa przez rozdział gładko rozczesanych włosów. Białe sari z czerwonym szlakiem z prostotą zarzucone przez niespętane piersi i dużo srebra. W uszach ogromne gwiazdy, naszyjniki, bransolety ramion i rąk.

Bose stopy, malowane na czerwono, uginają się pod ciężarem bransolet i pierścionków. Mężczyźni nie noszą turbanów. Krótko obcięte włosy. Wystarcza. Ich słońce, — ich nie pali. Frywolne „dhoti“ zastępuje coraz częściej spódnica „longi“. Na czarnym sznurku, jeden drewniany koral lub kłódka amuletu zdobi szyję i ramię.

Zmienił się nawet kształt miedzianego garnka. Jest większy i bardziej pękaty. Często zastępuje go wysoki „hladyś“ gliniany.

Kobiety noszą wodę i ciężary nie na głowie, a na ramieniu, lub na biodrze.

W najmniejszej wiosce nieraz na rozstaju dróg siedzą chłopcy z

koszami złotych melonów. Owoc sezonu. Są dosyć tanie i bardzo słodkie.

Drzewa szerokie, zasobne, szmaragdowe. Drzewa, jak domy. Można schować się w nich, zamieszkać w ich wnętrzu. Idą wzdłuż całej drogi jedno za drugim. Nieraz jedno potrafi ciągnąć się milę.

Wioski rozległe i naprawdę wioskowe. Nie miasteczka, nie dżunglowe szalasy. Na wszystkich polach, aż do Calcutty było to samo. Tylko w dżungli zupełnie inaczej. Coraz częściej wśród wioski, lub lasu spotykamy zgubione ruiny świątyń buddyjskich. O subtelnych rzeźbach, kapitelach połamanych kolumn. Stupy i stupki.

Czasem mają one dachy z kamienia, jak czuby strzech. Czasem stłoczą się w wielką gromadę, lub rozsypią pojedynczo większe i mniejsze.

A my dążymy do największej, — do Budda Gaya. Pytając o drogę wciąż i nieustannie ją myląc, zboczyliśmy dwadzieścia mil, by ujrzeć cud, świątynię — i zgubić naszego towarzysza.

Prawdziwy good lucke. Zawieruszył się nam, zapodział gdzieś w Gaya, mówiąc, że rusza za nami. Chciał, byśmy zostali i wypoczęli w miasteczku, bo on już był bardzo zmęczony. Znów my woleliśmy wypocząć w polu, lub w dak bungalow przydrożnem.

Doktór nas jakoś nie dogonił. Tyleśmy go i widzieli, jak siadał na motor w Gaya, wołając, że dąży za nami. Ślad po nim zagał.



Chata bengalska.

ŻYCIE W KOLORACH

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumeratorem „Świata” otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach”, której druk rozpoczniemy w październiku.

Doili trzecią flaszkę koniaku, zagryzając kawałkami salami, a na deser ćmili „extra - egipskie” papierosy, „wyfasowane” w niewiadomy bliżej sposób z magazynu książęcego.

Von Lichtenfeld - Satorhaza - Dubrovsky kazał przywołać zbrodniarzy przed swe oblicze.

Z głów im się mocno kurzyło, ale łupnęli w obcasy, jak przystało sprawnym żołnierzom, a starszy z nich zameldował:

— Ekscelencjo, legjonista Paweł Dryndalski, melduje się posłusznie jako komendant patrolu. Nieprzyjacieli się nie rusza, a na przedpolu leży zastrzelony zając, którego szkoda zostawić Moskalom.

— Skąd wzięliście konia, wino, salami i papierosy? — pytał wzburzony książę, wypowiadając to zdanie dziwną mieszaniną języków austriackich, w której plątały się słowa czeskie z kroaczkami, polskimi i zesłowiańszczyzną niemiecką.

— Kupiliśmy, ekscelencjo.

— Was? — spytał książę, zwracając się do Strzelbickiego, który miał mu służyć za tłumacza.

— Mówią, że kupili, panie pułkowniku, wytłumaczył Strzelbicki, obznajmiony co nie co z pułkową gwarą żołnierzy.

— Od cyganów, Ekscelencjo, meldował posłusznie legun Dryndalski, wpatrując się bezczelnie w twarz księcia, która wskazywała wyraźne zadowolenie, iż stary żołnierz nie szczędzi mu tytułów.

— Oni wszystko sprzedają, rum, papierosy, konserwy i słoninę, a kapral Knotek zamówił u nich dwie nowe armaty, bo te nasze, wyfasowane pukawki szczekają, jak stare psy i psują powietrze, lecz nikogo ukąsić już nie mogą, ciągnął Dryndalski.

Strzelbicki nie rozumiał już zawilej obrony oskarżonych, lecz wytłumaczył księciu, że napewno u polskich legjonistów znajduje się koń i trzeba do nich jechać natychmiast, aby odszukać stratę.

W towarzystwie Strzelbickiego udał się książę na odcinek legjonowy, aby dochodzić swej własności.

Spotkało go miłe przyjęcie.

Uprzejmy dowódca zamierzał oprowadzić gościa po okopach i ziemiankach, lecz książę nie chciał wprowadzać zamieszania w szeregi, albowiem najważniejszą rekojmią zwycięstwa jest spokój, a nie bardziej nie rozstraja nerwów żołnierskich, jak zjawienie się wysokiego oficera.

W tej właśnie chwili, gdy Książę Wysokość rozważył zagadnienie równowagi nerwów żołnierskich, rozległ się złowrogi pomruk, potem wycie, świst, zgrzyt, zatrzęsła się ziemia i ze strasliwym hukiem pękł opodał moskiewski kuferek.

— Co to? — zawołał przerażony pułkownik. Niedokończył jednak pytania, gdy padł drugi granat, zanim trzeci, a wreszcie lunął deszcz pocisków, zasypując przestrzeń żelazem i ołowiem.

— Do okopów! — wrzasnął dowódca odcinka. Atak idzie!

Von Lichtenfeld - Satorhaza - Dubrovsky stał oniemiały.

Wyrwane bryły śniegu, błota i piasku zbryzgały mu płaszcz, czapka zsunęła się z głowy, a wrzaskliwy głos komendy przygnał myśl, iż stać w miejscu niebezpiecznie.

W odległości pięciuset metrów rozciągały się okopy, oddzielone nagle od rezerw zaporą ogniwą.

Książę, półmartwy z biegu i nagłego wrażenia, wpadł do pierwszej lepszej ziemianki i zatoczył się zziębnięty na żołnierską prycę, wymaszczone gałązkami choiny. Oczekiwał zapowiedzianego ataku.

Moskale jednak nie ruszali się z pozycji, widocznie urządzili jeden z tych licznych napadów ogniowych, który dawał znać, iż wre wojna i ludzie polują wzajemnie na siebie jak na drapieżne zwierzęta, albo też zamierzali przypuścić atak na innym odcinku.

Książę leżał na barlogu i nie krył wcale wściekłości, iż Strzelbicki namówił go na awanturniczą podróż do legjonistów, ćmiał papieros za papierosem i wyrzekał na głupie pomysły młodych oberleutnantów.

— Bierz lichy konia, byle tylko wyjść cało i z honorem z tej przykłej przygody. Konieczne z honorem, a kto wie, nawet, czy nie z nowym laurem!

W tym natłoku najdziwniejszych myśli nie zauważył nawet, iż odłamek szrapnela musnął jego łydkę i krople krwi sączą się na ziemię.

Uczuł dopiero ból, gdy ruszył nogą.

— Jestem ranny, jęknął żałośnie.

Nad księciem pochylił się stary żołnierz, obejrzał łydkę i z miną znawcy wyrzekł:

— W naszym wojsku posyłają z taką raną na





trzy dni do kuchni i nie liczą nawet za maruderstwa.

Mówiąc to, wyciągnął własny bandaż i przewinął Jego Książęcą Wysokość, który z niewymowną wdzięcznością przyjmował usługi legjonisty.

Nieprzyjaciół zwalniał strzelaninę, a wprawne ucho mogło dosłyszeć, iż co pewien czas milkła jakaś armata, a natomiast coraz gwałtowniej wzmacniał się ogień na lewym skrzydle, tam, gdzie stały austriackie pułki.

W basową zaś harmonję kanonady wciskały się wrzaskliwe krzyki ludzkie, przerywane dręczącą ciszą, po której następowała znów palba ręcznej broni.

W telefonie zadzwieczało:

— Linja zachwiana, ratować sytuację i przejść do ataku na legjonowym odcinku...

— Gdzie? Dokąd? — pytał niespokojny książę, przyjmując z ośłupieniem karabin z rąk legjonowego podporucznika.

— Proszę z nami, w okopie niebezpiecznie, artylerja rosyjska za chwilę zrówna z ziemią te szanice, już ich znamy, ostrzegał oficer.

Jakby na potwierdzenie tych słów rozsypał się o kilka kroków szrapnel, raniąc dwóch żołnierzy.

Von Lichtenfeld - Satorhaza - Dubrovsky machinalnie wyskoczył z kryjówki i zrównał się z tyralerją.

Szedł, padał, strzelał i znów pędem biegł przed siebie, nie myśląc nic i nie rozumiejąc.

Nagle zagrzmiało mu nad uszami — hura, potem uspokoiło się wszystko i tuż przed nim stali żołdaci rosyjscy z wzniesionymi do góry rękoma.

Okopy zdobyto.

Była już głęboka noc, gdy błoga cisza zapanaowała na całej linii.

Austriacy utrzymali się na dawnych stanowiskach.

Kapitan legjonowy czynił honory gospodarza i ofiarował księciu własnego konia, który miał go zawieźć do kwatery.

Na pamiątkę zaś wspólnych przeżyć wręczył mu odznakę legjonową, z prośbą, by ją przypiął do munduru.

Tej samej jeszcze nocy von Lichtenfeld - Satorhaza - Dubrovsky odjechał do Wiednia, jako ranny i okryty sławą, albowiem korespondenci wojenni prześcigali się w pochwałach dla męstwa i patriotyzmu wysokourodzonego pułkownika, który z karabinem w ręku, jako prosty szeregowiec, szedł na szanice rosyjskie, nie zważając na ciężką ranę w nodze, byle tylko dać dobry przykład polskim legjonistom.

Strzelbicki nie mógł doprosić się urlopu. Pułkownik Bauer, który naprzemian z księciem dowodził pułkiem, był tego zdania, iż każdy porządny żołnierz austriacki w najbliższej przyszłości znajdzie odpoczynek w grobie, więc nie powinien okradać cesarza o tych kilka czy kilkanaście dni, jakie mu pozostają do życia.

Strzelbicki'ego trawił niepokój, albowiem piękna znajoma spotkana przygodnie w drodze nie odpowiadała wcale na jego „feldposty” wysyłane nieomal codziennie. Ostatnia zaś miłość, Ilonka, okazała się niegodną uczucia.

Całkiem pospolicie zdradziła Strzelbicki'ego i zaręczyła się z kapitanem Kocurkiem, który zaraz po zaręczynach rozchorował się na serce i odjechał do szpitala.

Mało więc było prawdopodobieństwa, aby wrócił na front.

Kocurkowi zazdrościli wszyscy oficerowie pułku.

— Ten przynajmniej rozumie się na rzeczy, mówił Mudroch, nie tak jak my, rezerwa. Umyje się, wszy wytepi, włoży dobrze upraną koszulę i będzie własnym dzieciom opowiadał kiedyś, jak to bywało na wojnie. Niedoczekanie, abym dał się zabić za Austrię, zobaczycie, iż w najbliższej potyczce pójdę do niewoli. Mogłbym wprawdzie dostać się do szpitala, bo nie jestem wcale głupszy od Kocurka, ale nie znoszę zapachu karbolu.

Zamiast bojów ciągnęły się dnie beznadziejnie jednostajne i straszliwe noce zimowe, spędzane w norach podziemnych.

Co dnia zamarzał ktoś na śmierć w okopach, co rana zgłaszała się do placówek zbiegowie rosyjscy, lub ginęły bez wieści patrole wysyłane na zwiady pod nieprzyjacielskie okopy.

Rozrywką wydawało się, gdy po wzejściu bladoego dnia zaryczały armaty po obu stronach, przesyłając sobie na dzień dobry kilkaset funtów stali i ołowiu.

Ale i ta rozmowa milkła po wymianie krótkich grzeczności.



- to wyborne przysmaki
i treściwe pożywienie!

Miedzy obu linjami zawiązywało się przyjacielskie porozumienie.

Austrjacy zawieszali na drutach koleczastych flaszki z rumem, a w zamian otrzymywali tytoń lub suszoną rybę, często wymieniano wzajemnie gazety, a oficerowie wrogich frontów znali się po nazwisku i świadczyli sobie drobne grzeczności.

Nikt nikogo nie oszukał, a gdy zmieniano oddziały, żegnano się z żalem i niekłamana szczerością — do widzenia!

Pewnego wieczora ustępujący z pozycji pułk wołyński przesłał wiadomość, iż na jego miejsce przyjdzie „dzika dywizja”, żołnierz straszny i nieznający się na grzeczności.

I tak istotnie było.

Następnej nocy wydusili Osecińcy cały patrol, wysłany na przedpole i tak cicho podkradli się pod kompanję Mudrocha, iż omal nie wyrznęli jej do nogi.

Doszło do bitwy na białą broń i gdyby nie mogła pomoc, kto wie, czyby Mudroch płatał się jeszcze po bożym świecie.

Dwustu moich Bojków odpędziło dziec kolbą i bagnetem, ratując mi przyjaciela.

W półgodziny potem graliśmy już w pokera w ziemiance Mudrocha, który kłął na swój pech, iż tkwić jeszcze musi w zawszonej Austrji. Nie podobna bowiem, aby zdał się na łaskę dzikich bestyj, któreby napewno przegryzły mu gardło zębami.

Za czujność i mężną obronę otrzymał Mudroch trzeci z kolei order.

Przyjął go obojętnie i wbrew utartemu zwyczajowi nie postawił ani jednej butelki wina.

Zresztą nikt się nie dopominał o libację, gdyż ciężka troska ośwładnęła okopami. Ludzie marli na tyfus płamisty, a na dodatek pojawiła się cholera.

Codziennie zabierano z ziemianek po kilku zakazonych i nie było kompanji, do którejby nie zawitała zaraza.

Zdawało się, iż nikt z nas nie wyjdzie żyw z tego zapowietrzonego miejsca, albowiem wszelkie środki zapobiegawcze nie powstrzymały epidemji.

Rozumieliśmy, iż trwać na dotychczasowych stanowiskach nie można i wzdłuż linji biegł cichy patrol: uciec od robactwa, które roznosiło chorobę.

Dowództwo jednak ani myślało o zmianie frontu, a gdy przychodziły nowe bataljony marszowe trzymano je w rezerwie, zamiast stosować się do utartego zwyczaju i rzucić je na pozycje nieprzyjacielskie.

Tymczasem szliby żołnierze jak furja, nawet Mudroch nie udawałby ataku.

Wśród żołnierzy rozeszła się pogłoska, iż Prusacy objęli dowództwo nad całą armją karpacką i chcą wyniszczyć Bojków i Huculów.

W biernych i posłusznych dotychczas góralach odczuwał się naraz instynkt samobrony.

W ziemiance mej zjawił się feldwebel z oznajmieniem, iż kompanja się buntuje i żołnierze rozmyślają o gromadnem przejściu do nieprzyjaciela.

— Naprzeciw nas stoi dzika dywizja i jeńców nie bierze, powiedz, że wyginą co do nogi.

— Wiadomo, że wyginą, ale nie pozostaną dłu-

żej na tem miejscu, odrzekł feldwebel, wskazując na kilkanaście postaci, które podniósłszy ręce do góry, ruszyły z okopów.

Osecińcy dopuścili ich aż do drucianych zasieków, a potem przywitani ogniem.

Tej nikczemności nie ścierpieli pozostali na pozycjach towarzysze.

Długo tłumiony żal, gniew i krzywda zjednoczyły się w ogromne uczucie nienawiści do nieprzyjaciela, zapłonęły wściekłością ślepie i bez komendy i strzału runęła kompanja z ukrycia, a za nią poszły następne, cały bataljon rwał do szturm, dopadł koleczastych drutów, rozdeptał je i rozerwał, waląc, jak huragan przed siebie.

Osecińców wykłuto bagnetami i w niewstrzymanym pędzie szła naprzód niszczyielska lawina; zmiażdżyła kanonierów ogłupiałych tym atakiem i wyczerpana wściekłością osadziła się na odległym łańcuchu górkim.

W komendzie pułku tryumfowano, a pułkownik Bauer zdobył opinię najzdolniejszego dowódcy, który tak genialnie wypatrzył słaby punkt rosyjski i wziął go bez jednego wystrzału.

Zmieniła się bowiem konstelacja strategiczna.

Zdobyte szczyty górskie panowały nad okolicą i Rosjanie musieli się cofnąć na całej linji.

Pierwsi, którzy ruszyli ramię w ramię z Bojkami i Huculami, byli legjoniści. Umocnili się w najbliższem naszym sąsiedztwie. Przedzielała nas tylko niewielka dolinka, po której krążyły dzień i noc patrole, naprzemian góralskie i legjonowe.

(Dalszy ciąg nastąpi).

„P R A S A“

Wyszedł z druku zeszyt lutowy

M I E S I Ę C Z N I K

Organ Polskiego Związku Wydawców Dzienników i Czasopism
Redaktor STANISŁAW KAUKIK

TREŚĆ ZESZYTU:

Projekt ustawy dziennikarskiej.

Rząd a prasa.

Franciszek Głowiński — Gospodarka ogłoszeniowa monopoli państwowych.

Po strajku w warszawskich drukarniach gazetowych.

Wzrost sprzedaży dzienników i czasopism na prowincji.

Życie organizacyjne: Prace Polskiego Związku Wydawców; Organizacje dziennikarskie.

Kronika krajowa: Państwa a prasa; Statystyka; Różne.

Ustawy i rozporządzenia dotyczące prasy.

Prasa na szerokim świecie.

Biblijografia.

Cena zeszytu 1 zł. Do

nabycia w administra-

cji „Prasy“, w więk-

szych księgarniach i

kioskach „Ruchu“.

Prenumerata roczna:

w kraju 10 zł., zagranicą 12 zł. Adres ad-

ministracji: Warsza-

wa, Krak.-Przedm. 40

m. 11, tel. 540-00. Kon-

to rozrachunkowe Nr. 751 Warszawa 1.

WIOSENNA MODA

O całości mody wiosennej mówić dziś jeszcze za wcześnie. Nie ze względu na kalendarz — a zwłaszcza na aurę. Ale ze względu na to, że jeszcze nie przybyły do stolicy paryskie kolekcje wiosenne, i że za kilka dni, nie wcześniej, nastąpi objawienie.

Jednak już wiemy to i owo — wprost z Paryża. I to się nam mo-

Bardzo wymagająca jest wiosenna moda w zakresie starannego dobierania szczegółów toaletowych tak, aby ze sobą harmonizowały. Rękawiczki, szalik, torebka — z tej samej żółtej zamkowej skóry — (a tak!) — świetnie wykończą każdy *tailleur*. Szalik, pasek i kapelusz z jednokowej szkockiej materji dadzą

poniżej) misternie wycinane w drobne ząbki, i zasnurowane jak półbuciki, rzemykiem z chwastami. Oto kilka pomysłów z milijona tych, które nas obdarzyła moda dzisiejsza.

Co jeszcze? Dużo rzeczy zabawnych. Więc wracają na kapeluszach — owoce. Pomarańczowe śliweczki, ciemno - bordo wiśnie, małe rumiane jabłuszka, pęczki jaskrawo - czerwonych porzeczek — te wszystkie apetyczne rzeczy nosić będziemy w tym roku wdzięcznie — na głowie.

Toczki całe z kwiatów są także *dernier cri*. I przyznać trzeba, że ta moda, dość nieśmiało przez kobiety stosowana, jest jednak pełna uroku. Taka mała łódeczka cała złożona z parmeńskich fiołków traci niezmiernie rokiem 1900-ym, ale jest tak ponętna, że bez przymusu do niej wrócimy.

Wogóle staroświecczyzna jest modna. *Frendzelki*, *falbanki*, *gipiurowe kołnierze*, *tiule suto marszczone na kapeluszach*, *niebypałe stroiki z piór i plecionek na głowę wieczorem* — całe to mnóstwo rzeczy bardzo *vieux jeu* wnosi do naszego życia, szarego i uregulowanego, jakiś powiew fantazji i rozkapryszonej kobiecości. Czy da się on zastosować dla wszystkich — to sprawa inna. (Uwaga: do biura naturalnie w takim gniazdku z kwiatów się nie chodzi. Do sądu, do szkoły, do szpitala i redakcji — także nie).

No więc dla kogo?...

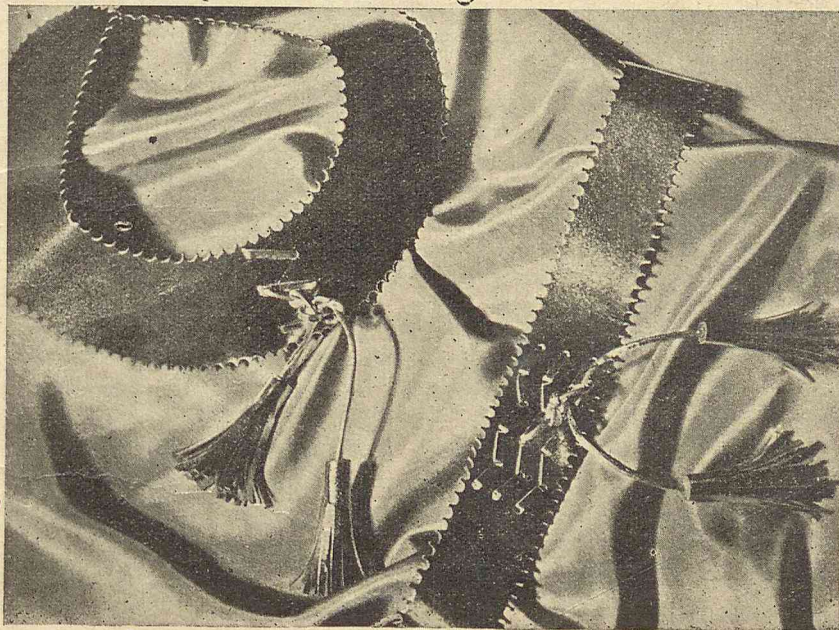
Trudno, drogie panie. Piszę o tem, co modne. A że nie każda z nas to włoży — nic na to nie poradzę.

że przydać. Więc przedewszystkiem — *niema w tym roku mody!* To znaczy mody takiej, jaką lubią warszawianki: *mundurowej*, *stereotypowej*, *jednakowej dla wszystkich*, *wymodelowanej we wszystkich domach mody na jedno kopyto*. Jest moda nowa — ale niezmiernie wielokrotna, różnolita, kapryśna. Iu twórców — użyjmy spokojnie tego wcale nie przesadnego określenia — tyle aspektów mody.

Cecha najbardziej charakterystyczna — *rękawy*. Ogromne, *bufiaste*, *bombiaste*, „à gigot“, *marszczone*, *przewiązywane*, *plisowane* *drobniutko*, *haftowane*, *koronkowe*, *futrzone* — słowem wszelakie. Byle pomysłowe, byle oryginalne, byle istotnie suknię ozdabiające.

Ramiona, jak się domyślamy — sztucznie temi rękawami poszerzone. Biust się nosi, i owszem — ale bez przesady, proszę. *Za to bioder nie nosi się wcale*. Ma być tak wąziutko, żeby od pasa wdół nie było wogóle żadnych poszerzeń. Ideal. Ale, ma się rozumieć, jak wszelkie ideały — nieosiągalny.

uroku surowemu płaszczowi sportowemu. Rękawiczki, beret i pasek (jak na ilustracji powyżej) z granatowej skóry w połączeniu z wełną granatową w białe gwiazdki — oryginalnie dopełnią piaskowej całości sukni z płaszczkiem *trois - quarts*. Do prostej sukienki sportowej — pasek i kołnierzyk ze skóry, (ilustracja





Suknia wieczorowa z jasno szarego chiffon, haftowana srebrem. Na to zarzucona cape ze strusich piór w tym samym tonie.

Nie każda również sprawi sobie suknię z tych przedziwnych tkanin, jakimi obdarzyli nas na ten sezon artyści. Jedwabie deseniowe są modne, ale jakie desenie! Na jednym widzimy... linje muzyczne i rozrzucone na nich nuty. Nic, tylko siadać i wygrywać. Na innym — rozsiane autografy autentycznych listów miłosnych sławnych ludzi. Klękajcie narody! Jeszcze inny pozwala podziwiać prześliczne rybki czerwone, na ciemno - granatowym tle, figlarne i roztańczone. Inny — na czarnem tle rozrzucone drobne kluczyki — takie zwyczajne, jak do szafy albo do drzwi wejściowych. Nie można sobie wyobrazić, jakie to naprawdę urocze. „Algèbre” nazywa się jedna suknia, z grubego czarnego crêpe, na które rzucono w panicznym nieładzie... szereg równań algebraicznych, pierwiastków, i innych mądrości. „Domino” — na czarnem tle ma rozsiane kostki dominowe. Pozatem z deseni już znanych — pepity i krataczki, groszki i pastylki, kwiaty i fasolki. Słowem — różnaitość rekordowa.

Wełny — przerabiane, supelkowate, na pozór ostre, są w rzeczywistości miękkie i doskonale się układają. Ale żeby „wy-

szczuplały” figurę — nie powiem. Dla wysmukłych osób — prześliczne.

Kapelusze, jeżeli idzie o fasony — najzupełniej dowolne. Wszystko jest modne — aby było do twarzy. Narazie najbardziej może podobają się w Paryżu duże płaskie breton, wcale niełatwe do noszenia, i nie każdemu w tem ładnie. Wałeczkwate „mandaryny” — skracające twarz, dobre tylko dla owali bardzo pociągłych. Śpiczaste zdarte z czoła czepeczki — odpowiednie dla twarzy bardzo młodych. Wreszcie najmniej ryzykowne — kapelusze dość płaskie z tyłu podniesione, z przodu mocno naciśnięte na czoło, silnie ocieniające oczy, coś pośredniego między beretem a canotierem.

I do wszystkich prawie kapeluszy — woalki, woalki, woalki! Na szczęście! Bo nie wymyślono jeszcze nic bardziej „awantażownego” dla twarzy kobiecej, jak ta

tajemnicza mgielka, z powodzeniem osłaniająca lekkie defekty, ślady lat, czy inne zmartwienia „pięknych pań”.

Pewne szczegóły mówią wyraźnie o tem, że zmierzamy ku coraz silniej zaznaczonej kobiecości. Np. tryumfalny powrót kolczyków. Nosi się je wielkie, okrągłe, płaskie.

Natomiast w obuwiu zupełny zmierzch wysokiego obcasa. Do sportów, do tailleuru — nietylko obcas niski, ale bardzo komiczne buciki do kostek z miękkiej zamkowej skóry. Kto ma trzydziści par obuwia, sprawi sobie niechybnie i takie: radzę prędko, bo moda ta zapewne długo nie potrwa. Na wieczór — sandały miśternie wycinane — też na niskim obcasie. Dziesięciocentymetrowe koturny wyglądają niemodnie i prowincjonalnie. Ale te na płaskich obcasach wymagają pięknej budowy stóp, klasycznej linii ciała — i bardzo długich nóg. Stąd dylemat: co robić, gdy się temi zaletami nie dysponuje? Ano nic: sięść i płakać...

Widziałam jeszcze jedno „cudo” — ale niestety z kategorii „marzeń ściętej głowy”. Była to wieczorowa suknia z srebrzystoszarego chiffonu, bardzo drobno plisowana soleil, haftowana srebrem (il. powyżej). Na to zarzucona cape z piór strusich w tym samym jasno - popielatym odcieniu, podbita chiffonem. Trudno o coś bardziej kobiecego, powiewnego, a zarazem bardziej dystygowanego i spokojnego.

Tylko — kto i gdzie taką toaletę w Polsce będzie nosił?

Jadąc brudnym tramwajem albo zapluskwioną taksówką...

Przyjrzyjmy się więc tylko — i pozazdrośmy kobietom w Europie, które, żyjąc w warunkach normalnych pod względem finansowym i cywilizacyjnym — mogą realizować „na własnych plecach” takie niedościgłe dla nas kreacje.

Lustucru.

DOM MODY p. f.
Klementyna Kozłowska
Warszawa, Al. Jerozolimska 37. Tel. 9.89-82
(obok hotelu Polonia)

Poleca na sezon bieżący
ostatnie modele kapeluszy
po cenach bardzo przystępnych

Honorujemy bony Sp. Pow. Kupc. Polskich

KRONIKA LITERACKA

Literatura w Belgii

W sobotę, 4-go kwietnia, Colette, znakomita autorka psychologiczno - obyczajowych powieści, zasiadzie w Akademii Belgijskiej. Z okazji odłożenia tego terminu poeta Valère Gille napisał do Colette: „Nie skarzmy się na tę zmianę, droga pani, bo w ten sposób przynajmniej wiosna weźmie udział w naszej umoczystości”.

Przyszła Akademiczka, M-me Colette, jest jednym z szesnastu członków (w tej liczbie znajduje się czterech Akademików Francuskich i czterech Belgijskich) jury, decydującego o przyznawaniu nagrody im. króla Alberta I-go. W roku zeszłym, kiedy nagroda ta miała być udzielona poraz pierwszy, Colette, oglądając fotografię jednego z kandydatów, zawołała: „Głosuję na tego, bo to przystojny chłopiec”. Coprawda nagrodę otrzymał inny kandydat, Robert Vivier, ale słowa pani Colette okazały się prorocze. Mimo, że, jak zauważył Pierre Daye (w „les Nouvelles Littéraires”), Eric de Haulleville (jego to bowiem wyobrażała fotografia, która tak się podobała M-me Colette), — przytył, a zatem zbrzydlł nieco, — tym razem uwaga jury zwrócona została przede wszystkim na pełną poezji powieść „Podróż na Wyspy Galapagos” (Voyage aux Iles Galapagos), a nie na fotogeniczne zalety autora. W rezultacie Eric de Haulleville został laureatem. Wybór ten jest wielce słuszny. Nowy laureat dotychczas bardzo mało napisał — przed wyżej wymienioną powieścią zaledwie trochę młodzieńczych prób poetyckich i jeden cenny zbiorek dojrzałej poezji pod tytułem „Le genre Epique”. Ale wśród powodzi dzieł, mających na względzie jedynie popularność, która swą płytką przyziemnością zalewa obecnie literaturę belgijską, Eric de Haulleville wyróżnia się wyjątkowymi i wartościowymi cechami. Posiada on niepospolitą, prawdziwie poetycką imaginację, w jego opisach poprostu grają barwy i dźwięki, a przytem odznacza się on zdolnością wywoływania istotnego piękna.

Członkowie jury, Paul Valé-

ry i Pol Neveux, wyrazili życzenie, aby nagrodzone zostało dzieło poety. I mimo, że nagrodę otrzymała powieść, życzeniom ich stało się zadość.

Literatura w Hiszpanji

Z więzienia do Ministerstwa

W początku marca b. r. zaszedł w Katalonji niezwykle i zanotowania godny wypadek: Ventura Gassol, wyszedłszy wprost z więzienia, został ministrem oświaty.

Krytycy i historycy literatury XX w., jak Folguera, Plana, Schneeberger, albo go pomijali, albo też stawiali mu niesłuszne zarzuty. Pierwszy Francuz, Adolf de Falgairolle, zwrócił uwagę czytelników na walory tego nieprzeciętnego poety, który za usiłowanie wskrzeszenia języka katalońskiego zmuszony był udać się na wygnanie. Wygnanie zwykle było zazwyczaj wychodzić poetom na korzyść. Gassol lata swego wygnania spędził w liberalnej Belgji. Ostatnio zaś Ventura Gassol przez piętnaście miesięcy przebywał w więzieniu, skąd wydał wiele poezji, między innemi wspaniałą poemat dramatyczny, zatytułowany „Śmierć Niedźwiedzia”.

Rafael Altamira

Nietylko uniwersytet madrycki, ale i cała Hiszpanja intelektualna uroczyście obchodziła 70-tą rocznicę urodzin Rafaela Altamiry.

Altamira był godnym uczniem wielkich republikanów hiszpańskich, jak Giner de los Rios, Ascarate i Salmeron. Wiedza była dla niego jedynie środkiem, sposobem służenia sprawie ludu, sprawie wolności. Zapoczątkował on w Hiszpanji nowoczesną metodę badań historycznych i stworzył kursy dla robotników przy uniwersytecie.

W końcu wieku XIX-go, kiedy po klęsce wojny ze Stanami Zjednoczonymi kraj ogarnęła fala pesymizmu, Altamira zaczął nawoływać do odrodzenia narodowego i zyskał sobie nawet przydomek „hiszpańskiego Fichtego”.

Dzieło Altamiry jest nader bogate, bo człowiek ten jest zarazem historykiem, prawnikiem,



Przy grypie

przeziębieniu, bólu
głowy i zębów
stosuje się Aspirinę
krajowej produkcji.

ASPIRINA



Do nabycia we wszystkich aptekach.

Cena za 6 tabl. obecnie już tylko

90 gr., za 20 tabl. zł. 2.20

socjologiem i pedagogiem. Jest on doktorem honoris causa kilku uniwersytetów i członkiem kilku Akademij. Podczas wojny Altamira stworzył komitet zbliżenia francusko-hiszpańskiego. Następnie należał do Komitetu Dziesięciu, który projektował Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości. W rok potem został sędzią tegoż trybunału i urząd ten piastuje do dnia dzisiejszego. Jak słusznie stwierdził B. Mirkin-Guetzevitch (generalny sekretarz Międzynarodowego Instytutu Prawa Publicznego w Paryżu), postać Altamiry swoją wszechstronnością przypomina uczonych XVIII-go wieku. Zarówno jednak działalność Rafaela Altamiry, jak i jego charakter odznaczają się jednolitością. Źródłem jej jest idea, która mu zawsze i wszędzie przyświecała, idea nieustannej służby sprawie wolności i pokoju. Teraz, ukończywszy lat siedemdziesiąt, Altamira zaprzestał wykładów i został mianowany honorowym dziekanem wydziału prawa na uniwersytecie madryckim. Ale nie oznacza to bynajmniej całkowitego usunięcia się od życia czynnego. Altamira w dalszym ciągu pracuje: pisze, miewa odczyty i wydaje swe dzieła.

L. Buyno.



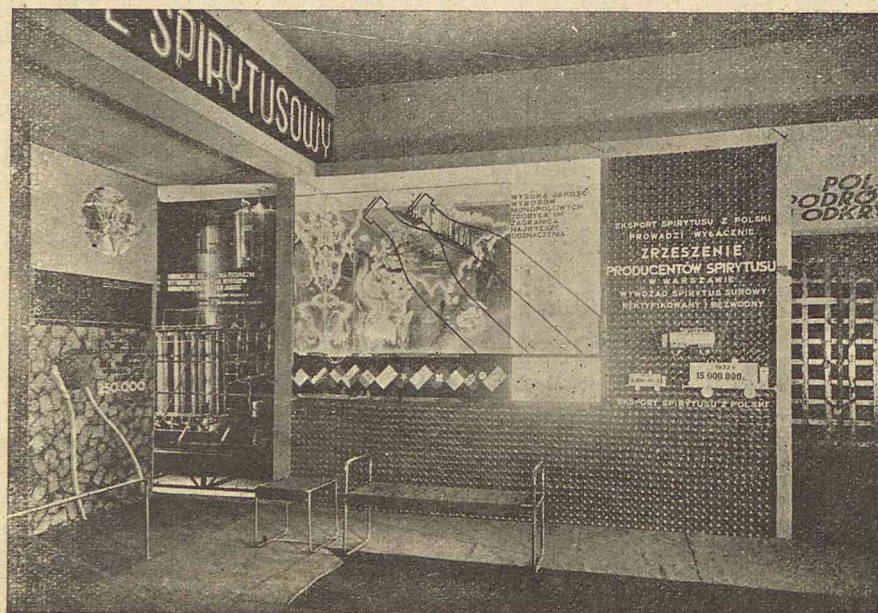
**PL. TRZECH KRZYŻY 18
MARSZAŁKOWSKA 92**



Ilustracja 1.



Ilustracja 2.



Ilustracja 3.

KONKURS

Ogłaszamy dzisiaj nowy konkurs dla naszych Czytelników. Apelujemy do ich pomysłowości i dowcipu, stawiając im następujące zadanie:

Mamy szereg ilustracji, do których brak nam podpisów. Czytelnicy nasi zechcą przyrzec się uważnie załączonym sześciu ilustracjom i

NADEŚLAĆ NAM DO REDAKCJI „ŚWIATA“

ODPOWIEDNIE PODPISY DO KAŻDEJ ILUSTRACJI.

Nagradzać będziemy dwie kategorie odpowiedzi:

I. PODPISY NAJDOWCIPNIEJSZE.

II. PODPISY NAJORYGINALNIEJSZE.

Nie idzie nam o to, aby podpisy określały najściślej, co przedstawia dana ilustracja, ale o wykazanie przez Czytelników największej fantazji i dowcipu.

Odpowiedzi prosimy nadsyłać w kopercie zamkniętej, adresując:

**„ŚWIAT“, WARSZAWA,
SZPITALNA 12.**

KONKURS

„ZGINĘŁY PODPISY“.

Podpisy należy ponumerować zgodnie z numeracją ilustracji, które tu zamieszczamy. Do odpowiedzi konkursowej należy dołączyć wycięty kupon konkursowy, zawierający nazwisko i adres Czytelnika, biorącego udział w Konkursie.

Dla najlepszych odpowiedzi Redakcja „Świata“ przeznacza 20 nagród:

ZA ODPOWIEDZI NAJDOWCIPNIEJSZE:

NAGRODA I. 3 wartościowe książki.

NAGRODA II. 2 wartościowe książki.

NAGRODY od 3-ej do 10-ej. Po jednej wartościowej książce.

ZA ODPOWIEDZI NAJORYGINALNIEJSZE:

NAGRODA I. 3 najnowsze płyty gramofonowe.

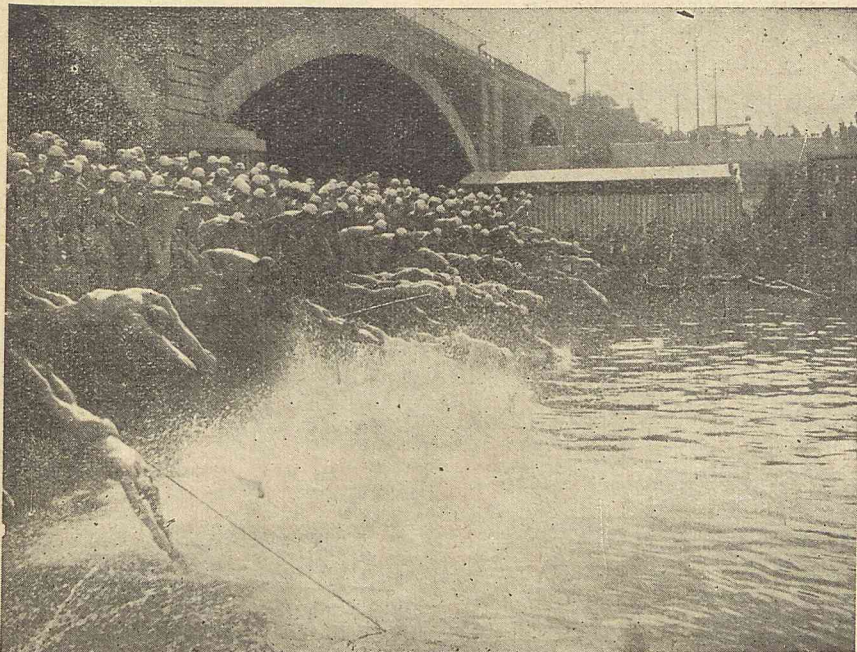
NAGRODA II. 2 najnowsze płyty.

NAGRODY od 3-ej do 10-ej. Po jednej płycie gramofonowej.

Ostateczny termin nadsyłania odpowiedzi upływa dnia 10-go kwietnia r. b.

„ZGINEŁY PODPISY”

(DLA NASZYCH CZYTELNIKÓW)



Ilustracja 4.



Ilustracja 6



Ilustracja 5.

KUPON na konkurs: „ZGINEŁY PODPISY”

Imię i nazwisko uczestnika konkursu:

Adres uczestnika:

KUPON Z ODPOWIEDZIĄ ODESŁAĆ: „ŚWIAT”, Szpitalna 12, WARSZAWA

30 MINUT AKROBACJI LOTNICZEJ

(Opowiadanie pilota)

Kieruję się do mojej jednomiejscowej maszyny „Curtiss Conqueror P. 6”. Za chwilę mam wykonać półgodzinny lot akrobatyczny. Mechanik na mój widok wskazuje na siedzenie i uruchamia silniki. Sprawdzam uprząż mego spadochronu i winduję się do kabiny, skąd po chwili wystaje jedynie głowa.

Zapinam pasy. Dwanaście cylindrów mego „Conquerora” zaczyna mruczeć.

Przedemną na tablicy rozdzielczej znajduje się chyba niemniej instrumentów i liczników, niż w kabinie „Graf Zeppelin’a”.

Sakramentalne „Zdjąć podstawki”. Większy gaz. Za aparatem powstaje minijatura burzy.

Z uwagą śledzę „wyraz twarzy” mego „Conquerora”; „twarz” — to zespół instrumentów pokładowych. Chcę znaleźć choć jedną niedokładność lub wadę. Wszystko jest w porządku, wszystko działa bez zarzutu: wysokościomierz; szybkościomierz i sztuczne horyzonty, liczniki obrotów i wskaźniki oliwy i benzyny i t. d. i t. d. Oddaję powoli manetkę i ryk motoru z wolna milknie.

Pamiętam, jak osiem lat temu, gdy zaczynałem moją karierę pilota, huk motoru wydawał mi się nie do zniesienia.

Śmigło wrzyna się w powietrze, samolot z wolna zaczyna rolować po płycie betonowej. Zjeżdżam na trawę lotniska. „Conqueror” nie jest jeszcze w swoim żywiole — trzęsie, podskakuje. Rozglądam się na obie strony, aby uniknąć większych wyboi i nie wpaść na inny samolot.

Uwaga! właśnie trzy ciężkie maszyny bombardujące podchodzą do lądowania. Zmniejszam gaz, zaciskając jednocześnie hamulce — czy to nie zbyt ostrożności?

Nikogo obok mnie. Roluję w metalowym kadłubie, przyczepiony do sześciokrotnie większej mocy, niż w naszym luksusowym stukonnym samochodzie — jeździ, oczywiście, macie stukonną maszynę...

Dodaję gazu i oddaję knypel. Ogon odrywa się od ziemi, maszyna pochyla się, lotki i stery zaczynają drgać, miotane coraz tężej opływem. Ciągnę knypel — maszyna odrywa się prawie niedostrzegalnie. Jestem w powietrzu.

Nie wznoszę się; przeciwnie lecę poziomo dla uzyskania większej szybkości. 180 km. na godzinę. 195, 240... Oto granica lotniska rozpościera się podemną. Lecę wciąż nisko, nie spuszczać oka z bloku zabudowań portu lotniczego. 265 km! Gmach leci na mnie, wpada. Podrywam aparat. Świeca. Jakież wrażenie! Znajduję się na wysokości

„Empire State building” w chwili krótszej, niż trzeba na wymówienie tego.

Wznoszę się ciągle, lecz już mniej gwałtownie. Lotnisko wydaje się małe, jak chustka do nosa. Niebo mnie oślepia, a Atlantyk rozciąga się w dali aż do granic widoczności.

Nademną, trochę wprawo dostrzegam wielki biały cumulus; wydaje mi się podobny do ośnieżonych szczytów Mont Cervin. Decyduję się wdrapać po jego stromych zboczach, gdyż doprawdy to zbyt nudne siedzieć nieruchomo, ze wzrokiem utkwionym w tarczy wysokościomierza i nie widzieć nic poza błękitnym niebem i brunatną ziemią, rozslaną u mych stóp, tak daleko podemną.

Zanurzam prawy płat w chmurę i wznoszę się wzdłuż jej zbocza. Nareszcie odczuwam szybkość i wysokość. Ściana mgły wznosi się po mojej prawej, z lewej jest tylko próżnia. Wydaje mi się, że jestem muchą i że spadnę z chwilą, gdy me prawe skrzydło oderwie się od chmury.

Wznoszę się ciągle. Oto jestem ponad ogromnym jakimś ładem chmur. Jeden tylko szczyt wystaje z mgły, jakby dach drapacza nieba na platformie chmur. Okrążam go wchodząc spiralą po kręconych schodach. Szczyt wznosi się nad skrzydłem. Podciągam maszynę i ściśniętym wierzchołkiem śmigłem. Może to trochę dziecinne, ale nie mogę odmówić sobie przyjemności dania psztyczka w nos tej napowietrznej górze.

Muszę wnieść się wyżej, zanim rozpocznę pracę. Daję memu ptakowi chwilę odpoczynku; rozgrzał się nieco w czasie wznoszenia, ale to tylko lepiej dla mnie — rozgrzewa mnie w tym zimnym powietrzu.

Wyjmuję papierosa z kieszeni kombiniezy i zapalam go. Potem pluę na rękę, aby dokładnie zgasić zapalkę przed wyrzuceniem, ta ostrożność jest konieczna. Ale wiatr jest zbyt mocny — papie-

SPADLA
SPADLA
Spadla

CENA**DENATURATU!****OBECNIE 75 GR. ZA 1 LITR**

ros pali się źle. Gaszę go w sposób analogiczny jak zapalkę i wychylam się, aby wyrzucić. Powietrzeomal mnie nie uduśliło, coprędzej chowam się za wiatrochron.

Podciągam i wdrapuję się na 6000 m. Rzucam okiem na zegarek: minęło dziewięć minut od opuszczenia ziemi. Mam jeszcze czas. Włączam stabilizator, aby samolot mógł lecieć sam. Coś niedobrze — ma ochotę skręcać w lewo; trzeba będzie powiedzieć mechanikowi.

Spoglądam na szybkościomierz: 320 km. Wystarczy. Zostaję rzucony na przód. Pas zabezpieczający ściąga mnie spowrotem na siedzenie. Silnik śpiewa swą smetną melodję na jednostajnie wysokim tonie, wibracje kadłuba przypominają mi piekielną maszynę dentysty.

Co mam robić? Czy zacząć loopingiem? Ciągnę knypel. Samolot zdaje się nie reagować. Dla kontrastu horyzont, niebo i słońce są tem gwałtownie wzburzone: formują pochód, który defiluje przed nosem maszyny. Dotychczas słońce było nademną, teraz przygląda mi się poprzez błyszczący krąg śmigła. Zamykam oczy. Gdy znowu je otwieram, ognista kula zniknęła; niebo jest puste. Teraz horyzont opada przed maszyną. Ziemia jest właśnie nad linją horyzontu. Mój samolot dotyka linii, która rozgranicza czarną górę od białoniebieskiego dołu. Lecę na plecach.

Tanie i wygodne wycieczki do Z.S.R.R.

od 15-go kwietnia 1936 r.

w sezonie wiosennym przez „Intourist” organizuje Polskie Biuro Podróży „UNION-LLOYD”, W-wa, Chmielna 44, tel. 622-24.

Szczegółowych informacji udzielają
wszystkie placówki „Union-Lloydu”

Tamże sprzedaż kolejowych i okrętowych biletów na Bliski i Daleki Wschód, do Palestyny i z powrotem.



Ale nie chcę stracić wysokości. Oddaję knypel i ciągnę manetkę gazu. Lecę znów równoległe do ziemi.

Machinalnie i bez zastanowienia daję prawą nogę i skręcam nagle... Reakcja jest gwałtowna i natychmiastowa: horyzont pod absurdalnym kątem wali się na prawo, chwilę trwa w zawieszeniu, poczem zaczyna spadać, obracając się całe trzy razy wokół mnie. Pod koniec trzeciej zвитki oddaję stery i umieszczam rozszały horyzont na czubku nosa zadziornej maszyny. Samolot znów stał się przedłużeniem i uzupełnieniem mego ciała. Jestem z nim zrośnięty.

Przechodzę do dalszych łamańców. Pikuję pionowo, prostopadłe do ziemi. Zimny dreszcz biegnie wzdłuż pleców. Potem ciągnę, wyrrywam maszynę z piki. Ale stało się to zbyt gwałtownie. W oczach mi pociemniało. Moja krew spadała wraz ze mną z szybkością 580 km. na godzinę. Skoro ściągnąłem maszynę, krew nie mogła zatrzymać się momentalnie — uciekła mi zupełnie z głowy.

Tych parę sekund było bardzo nieprzyjemnie. Niemoc trwa jakiś czas, poczem stopniowo ustępuje. Już widzę światło, ale czarna plama tkwi nieruchomo w środku pola widzenia. Nakoniec ciemność rozplywa się i zauważam, że osiągnąłem pierwotną wysokość. Jestem na plecach, horyzont znów opada w moją stronę. Siła odśrodkowa, utrzymująca mnie dotychczas w siedzeniu, znika. Wiszę na pasach. Wąski strumyk benzyny z gaśnika bije mi w twarz, napienia usta. Wypluwam ją ze wstrętem i pochylam knypel w lewo. Horyzont obraca się i zatrzymuje pionowo przedemną jak słup telegraficzny, by za chwilę przyjąć położenie normalne.

...Mam jeszcze trochę czasu do końca próby. Głowa mi ciąży, a smak benzyny przyprawia o mdłości. Zapalam nowego papierosa, który wydaje się okropny, jednak wzmacnia mnie trochę.

Widzę na horyzoncie czteromasztowiec i kieruję się wprost na niego, ześlizguje się na plecy i kręcę beczkę, starając się nie stracić z oczu okrętu. Ale nie widzę go i to mnie irytuje. Muszę wykręcić siedem beczek w lewo, nim zły humor minie. Nie lubię tej akrobacji. Podczas loopingu pozostaje się na miejscu, jak woda w szklance, przy beczce siła odśrodkowa stara się wy-

rzucić pilota z kadłuba. Czy podobałoby się państwu jechać windą, będąc przywiązany za nogi do sufitu z głową nadół?

...Decyduję się na pikę z 6000 m. na 2500, aby sprawdzić maksymalną szybkość samolotu. Przygotowuję się starannie, mocując dokładnie kask i okulary, poczem wznoszę się na 6500 m. skąd robię próbę lotu nurkowego na 500 m., obserwując pilnie skrzydła.

Odpoczywam jeszcze chwilę, wdychając głęboko rozrzedzone powietrze i choć moje trzydzieści minut są na ukończeniu, waham się, jak pływak przed skokiem do bardzo zimnej wody.

Nakoniec rzucam mego „Conquero-ra” całą mocą jego dwunastu cylindrów wdół. Wkoło mnie szaleje huraganowy wicher. Wysoka skarga silnika miesza się z rykiem wiatru. Strzałka przekracza 450 km. Słyszę wrzask zastrzałów. Gdybym wyciągnął rękę, powietrze wyrwałoby mi ją z ramienia. Strzałka się zatrzymała. 550 km. Cały samolot wibruje, jak struna banjo. 4500 m., 4000, 3700. Wszystkie dźwięki zlewają się w jeden, który mi targa nerwy. 5000 m. Powstrzymajmy spadek! Nie! Powiedziałem: 2500 m. Wiem, że ziemia jest jeszcze daleko, ale wydaje się, że leci wprost na mnie. 2500 m.! Zaczynam ciągnąć. Oczy zamglily się momentalnie. Nie tak szybko! Ale altimetr wskazuje 2000 m. Trzeba starać się wyjść.

Oczy mam pełne czarnego atramentu, płuca odmawiają pracy, palce się rozluźniają, ogromny kamień spada na mnie i wmiążdża mnie w siedzenie, serce wali nieludzko. Ogarnia mnie panika: zdaje się, że rozmiążdżę się o ziemię.

Ale strach mija. Nie czuję nic, nie myślę o niczym. Trwoga nagle wraca. Czuję, że szybkość zmniejszyła się. Krzy-



NOWY AKTYWNY
KREM

FENOMEN

Krem jakiego dotąd nie było. Jest wytworem najnowszych naukowych badań chemicznych.

Idealnie spełnia swoje zadanie: Nadzwyczaj szybko przenika tkanekę skórną, gruntownie zmiękcza cerę, wygładza ją i nadaje twarzy świeży, delikatny matowy wygląd.

Wyrobiany jest w dwóch odmianach: **pótlusty i beztłuszczowy**. Ten ostatni nadaje się również i pod puder. Cena zł. 1.20.

**WARSZAWSKIE LABORATORJUM
CHEMICZNE SP. AKC.**

Żądać we wszystkich perfumeriach
i składach aptecznych

czę. I wreszcie światło powraca. Widzę ziemię i zdaję sobie sprawę z położenia: jestem na sześciuset metrach.

Wylądowałem. Idąc do pokoju pilotów, spotkałem porucznika, który ma dokonać analogicznej próby na „P 16”.

— Jak tam? — zapytał.

— Bardzo dobrze.

Obejrzał samolot i rzekł:

— No tak. Widzę...

**ŚWIĘTA NADCHODZĄ! A WIĘC,
ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE
WYBOROWYCH**

WÓDEK GATUNKOWYCH

FABRYKI

„SUCHOWOLA”

SEWERYNA KSIĘCIA CZETWERTYŃSKIEGO

To już przysłowie: **CWEJKO** TANIO SPRZEDAJE MODNE TKANINY

Wycieczka do Hof-Gastein

Słynna austriacka miejscowość kuracyjna Hof-Gastein obfituje w źródła radioaktywne i cieplice, a poza tym posiada piękne tereny górskie i dobre warunki śnieżne, ściągające turystów i sportowców.

Nadarzy się właśnie okazja zwiedzenia tego uroczego uzdrowiska, przeprowadzenia krótkiej kuracji, lub też dokonania kilku pięknych wycieczek w góry. Będzie nią wycieczka zorganizowana przez Orbis, pod protektorem Konsula austriackiego. Wyruszy ona z Polski w dniu 17 marca przez Wiedeń, który będzie można zwiedzić w drodze powrotnej.

Uczestnicy wycieczki zamieszkają w pierwszorzędnym hotelach w Hof-Gastein i w Wiedniu. Cena uczestnictwa, obejmująca paszport, wizy, przejazdy kolejowe od Zebrzydowic do Hof-Gastein i spowrotem, przewiezienie z dworców do hoteli, całkowite utrzymanie, zwiedzanie Wiednia autokarem, oraz opiekę przewodnika, wynosi w kl. III zł. 590. Dopłata za przejazd kolejowy 2-gą klasą wynosi 60 zł.

Jeane Lee w Warszawie

W przemiłych i sympatycznych podziemiach Paradis'u występuje obecnie między innymi słynna piosenka i tancerka Jeane Lee. P. Lee śpiewa znaną piosenkę francuską „J'ai deux amours — mon pays et Paris” („Mam dwie miłości — mój kraj i Paryż”).

Jest to ta sama piosenka, którą w Paryżu śpiewa słynna Józefina Baker. Nie wiemy jak w Paryżu, ale w Warszawie, w Paradisie piosenka ta cieszy się olbrzymim powodzeniem.

P. Lee zdobyła sobie sympatię publiczności nie tylko za swe piosenki, ale również i za tańce, które wykonuje w nadzwyczaj szybkim tempie.

Znana z płyt gramofonowych polska piosenka, p. Wiera Gran, śpiewa w Paradisie z wielkim powodzeniem najnowszą przebojową piosenkę:

Kochałam Cię i kocham dziś też
I kochać Cię będę, czy nie chcesz
czy chcesz,
Bo miłość silniejsza jest, niż ja“...

Czwarty festiwal teatralny

Miedzy 1 a 10 września b. r. odbędzie się w ZSRR Czwarty Festiwal Teatralny.

W stosunku do poprzednich festiwali program nadchodzącego wykazuje pewne różnice. Otworzy festiwal nie, jak zazwyczaj, przedstawienie teatralne, lecz wielki wieczór artystyczny sztuki zbiorowej, rekrutującej się ze świata robotniczego i włościańskiego.

Ciekawą inowacją będzie to, że w festiwalu wezmą udział dwa wielkie teatry Ukrainy i Gruzji.

W roku bieżącym festiwal odbędzie się w dwóch miastach, mianowicie Leningradzie i Moskwie, co zwiększy napewno zainteresowanie uczestników.

W Moskwie odbędą się najlepsze przedstawienia z repertuaru teatrów: Wielkiej Opery Państwowej, Moskiewskiego Teatru Artystycznego, Teatru im. Gorkiego, Teatru Rewolucji, Teatru im. Meyerholda, Teatru Realistycznego, Teatru dla Dzieci pod kierownictwem p. Natalji SATZ, którą tutaj sfery teatralne znają z zeszłorocznego odczytu w Instytucie Reduty.

W Leningradzie zaprodukują się w ramach festiwalu: Państwowy Teatr Opery i Baletu (dawn. Maryjski), Mały Teatr Operowy (dawn. Michajłowski) oraz Teatr Młodego Widza.

Uczestnicy festiwalu będą mieli możliwość usłyszeć powtórnie świetne artystki operowe, pp. Maksakową i Barsową, które pozostawiły po sobie niezatarte wrażenie podczas niedawnego pobytu w Polsce. Poza tym uczestnicy będą mogli pójść do dowolnego teatru, nieobjętego programem.

Festiwal stanowić będzie doskonałą okazję do zapoznania się ze zdobyczami artystycznymi i kulturalnymi Moskwy i Leningradu.

Fabryka Trykotaży
Jan Matuszewski
102 Marmalkowska 154
33 Chmielna 40 Nowy Świat



Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych bronchit, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarze „BALSAM TRIKOLAN AGE” (dawniejsza nazwa „Balsam Thiocolan Age”), który, ułatwiając wydzielanie się płwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego. Sprzedają apteki.

Wskazania:
Choroby wątroby
Kamienie żółciowe
Zła przemiana materii
Chroniczne zaparcie

„CHOLEKINAZA”
H. NIEMOJEWSKIEGO

Sprzedaż:
Lab. fizjol.-chemiczne
Warszawa, Nowy Świat 5
Apteki i Składy apteczne
Brozury bezpłatnie

SÓL DO NÓG JANA PRZYNOSI NIEOPISANĄ ULGĘ PRZY ZBOLAŁYCH NOGACH

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzednim telefonie porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87.

Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.



nas myją tylko

MYDŁEM BEBE SZOFMANA

ŚWIAT FILMU

Aktorka, która przynosi szczęście

Nawet brydźści, uważani za najprzesądniejszych ludzi na świecie, są mniej zabobonni, niż aktorzy filmowi, którzy święcie wierzą, że wiele zupełnie błahych rzeczy może im przynieść szczęście lub pecha. Noszą ze sobą najdziwniejsze amulety, nie rozstają się ze starymi butami, w których grali w swych pierwszych filmach, nie pozwalają nikomu gwizdać, boją się jak ognia trzynastki, rozsypanej soli i zbitych luster. Boją się także aktorów, reżyserów, którzy jakoby przynoszą pecha swemu otoczeniu.

Jest jedna gwiazda w Hollywood, która przynosi szczęście swym partnerom, reżyserom, operatorom, słowem ludziom, którzy mają możność zetknięcia się z nią. Tą aktorką jest Sylvia Sidney.

Przed paru laty Sylvia Sidney grała na scenie jakiegoś trzeciorzędnego teatryku w Nowym Yorku z młodym, przystojnym aktorem, nazwiskiem Gene Raymond. Gene twierdzi, że od tej chwili pech przestał go prześladować, dostał dobre engagement i zrobił karierę filmową i teatralną. Frederic March, dziś jeden z najwybitniejszych aktorów filmowych, był partnerem Sylwii Sidney w teatrze w Denver. Peggy Shanon grała z nią w sztuce p. t. „Na rozstajnych drogach”. Dziś Peggy jest gwiazdą. Dwaj wybitni reżyserowie: Marion Gering i George Cukor reżyserowali sztuki, w których grała Sylvia Sidney. W sztuce p. t. „Zbrodnia” prócz Sylwii Sidney brał udział zespół aktorów, którzy są dzisiaj słynnymi gwiazdami w Hollywood, mianowicie: Chester Morris, Kay Francis, Kay Johnson, Kent Douglas, Allen Vincent, Linda Watkins i Margaret Churchill uczęszczały do tej samej szkoły dramatycznej, co Sylvia.

Nie dziwnego, że artyści filmowi nazywają Sylwię Sidney „dobrą wróżką”, starając się za wszelką cenę zagrać chociaż epizod w jej filmach. Sylvia gra obecnie w filmie kolorowym p. t.

„Droga samotnej sosny”, reżyserji Henry Hathaway z udziałem dwóch młodych aktorów filmowych: Freda McMurraya i Henry Fondy. Przekonamy się, czy przyniesie im szczęście.

Ameryka wydała bezlitosną walkę światu podziemnemu

W chwili objęcia rządów przez prezydenta Roosevelta władze i społeczeństwo amerykańskie wystąpiły z całą energią do walki z rozpanoszonego światem przestępczym. Rzucono z Waszyngtonu krótki rozkaz: „Show them no mercy”, co w języku polskim w wolnym tłumaczeniu brzmi: „Tępić bez litości”. Do tej ogólnej walki ze zbrodnią przyłączyła się również kinematografia. Przestano produkować filmy, gloryfikujące „rycerzy zbrodni”, natomiast pokazano życie i walkę stróżów prawa w obronie porządku. Pracę tych wszystkich, którzy niejednokrotnie narażali swoje życie, ażeby zapewnić społeczeństwu spokój i porządek.

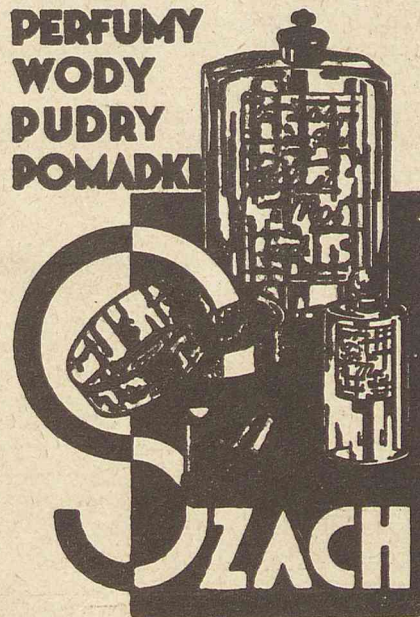
Wielki koncern filmowy „20th Century-Fox” zrealizował film, którego tytuł brzmi, jak wyżej wspomniane hasło Białego Domu — „Show them no mercy”.

Z niebywałym realizmem odtworzono życie t. zw. „porywaczy”, którzy wyrobili sobie smutną sławę, oraz nieubłaganą walkę, jaką toczy rząd z gotowymi na wszystko gangsterami.

Film ten nie jest filmem kryminalnym. Posiada pięknie zarysowaną akcję miłosną, którą odtwarzają: piękna Rochelle Hudson i znakomity Cesar Romero. Film „Wampiry” (tyt. tymczasowy) jest zarazem pewnego rodzaju holdem, złożonym przez społeczeństwo tym wszystkim, którzy waleczą w jego obronie. Wyświetlany w 5-ch największych miastach Ameryki: Nowym Jorku, Chicago i San Francisco, wzbudził powszechny aplauz. Rząd amerykański złożył reżyserowi Georgowi Marchallowi gratulację za wspaniałą realizację filmu.



**PERFUMY
WODY
PUDRY
POMADKI**



WIELE JEST ŚRODKÓW PRZECIWKO HEMOROIDOM,
Wynik KURACJI ŚWIADCY O ZALETACH UŻYTEGO ŚRODKA
ZOPKI „**VARICOL**” GASECKIEGO
STOSUJE SIĘ PRZY **BÓLACH, KRWAWIENIU**
SWEDZENIU, PIECZENIU i INNYCH OBJAWACH
HEMOROIDALNYCH. — PRZY ZEWNĘTRZNYCH GUZACH
HEMOROIDALNYCH STOSUJE SIĘ **MAŚĆ „VARICOL”**

„VARICOL” GASECKIEGO NIE ZAWIERA SZKODLIWYCH SKŁADNIKÓW

Czem w budzecie jest kontrola
Tem dla zdrowia bywa..**OLLA**

“OLLA”
Gum..?

„SMOK” PIÓRO WIECZNE

Żądajcie we wszystkich sklepach z materiałami piśmiennymi w całej Polsce

Wytwórnia w Warszawie, Nowy - Świat 39. Telefon 6 - 40 - 63

WYRÓB POLSKI PRZEWYŻSZA
DOBROCIĄ FABRYKATY ZAGRANICZNE

ŚWIAT FILMU

„Złotowłosa brzdać”

Europa

Widzieliśmy już Shirley Temple w wielu rozmaitych filmach. Po „Roześmianych Oczach...” „Małym Pułkowniku” i „Naszym Słoneczku” zaczęliśmy wątpić o przyszłości małej gwiazdki. Wydawała się zbyt zmanierowana, zbyt „rozkoszna” i ckliwo-słodka. Okazuje się jednak, że nasze obawy były — na szczęście — płonne.

„Złotowłosa Brzdać” (20-th Century Fox), zręcznie pokierowany przez reżysera, Irvinga Cummingsa, stworzył świetną, wesołą komedię, rozgrywaną w znakomitem tempie bez dłużyzn, zbytecznych zbliżeń i sentymentalnego balastu.

Owszem, sentyment jest. Żywe i barwne sceny komedjowe są nim czasem dyskretnie zawalowane, ale to nie razi, przeciwnie — dodaje uroku filmowi i jego małej bohaterce.

Shirley gra małą sierotkę, której uśmiechnęło się szczęście w postaci szlachetnego, młodego milionera (John Boles), który, oczarowany wdziękiem małego djablika, zabiera go z sierotnica, gdzie pomysłowe figle przedsięwzięcia gwiazdki poważnie utrudniały jej życie.

Scenariusz pogodny i dowcipny, umiejętnie wyreżyserowany i ożywiony dobrą grą wykonawców, sprawia, że filmowi można postawić tylko jeden zarzut, iż jest zbyt krótki.

Obok koncertowo grającej małej Shirley pochwalić należy młodą, dotychczas nieznaną w Polsce artystkę, Rochelle Hudson. Jej delikatna uroda, wrodzony wdzięk i urok wiośnianej dziewczyczki przy inteligentnej i subtelnej grze i dużej muzykalności winny jej pozyskać wielu zwolenników i wielbicieli.

John Boles, porwany urokiem pięknej Rochelle Hudson, dał dobrą sylwetkę szlachetnego młodzieńca.

Strona muzyczna filmu barwna i żywa, opracowana przez H. Hendersona, pozwala pocholebnie ocenić talent wokalny wykonawców.

Shirley Temple, mała śpiewaczka i tancerka, wykazuje duże wyrobienie na tych polach, każąc nam podziwiać jej duże zdolności.

Wiele zabawnych epizodów tego filmu zawdzięczamy sympatycznemu... kucykowi „Snoo-ky” i dostojnemu lokajowi.

Nad program bardzo barwna groteska rysunkowa Metro Goldwyn Mayer, „W krainie miodu” z cyklu Happy Harmonies, posiada wiele wdzięku i ruchu, wywołując pocholebną reakcję publiczności. Temat niebanalny, masa świetnych pomysłów i dobre wykonanie każą zachwycać się tem małym arcydziełem.

J.

Mleczna droga — nowy triumf

Harolda Lloyd

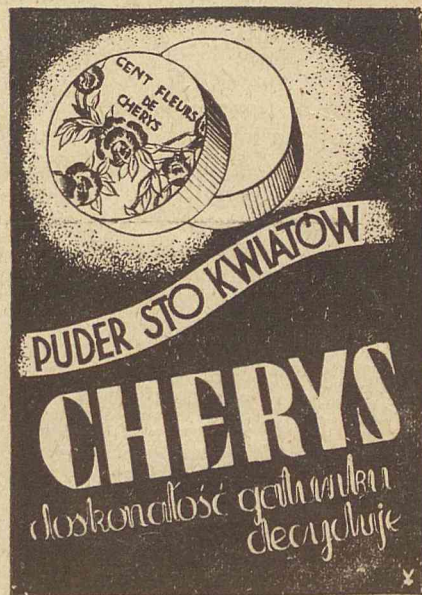
W swym najnowszym filmie „Mleczna Droga” Harold gra rolę niezgrabnego mleczarza, który przypadkowo zwycięża mistrza bokserkiego. Manager boksera jest w rozpacz. Nikt nie chce wierzyć, że to był przypadek, że Harold nie dalby rady żadnemu bokserowi. Manager wpada na genialny pomysł: postanawia z Harolda zrobić boksera, zaaranżować spotkanie między swym pupilem a mleczarzem i gdy mecz zakończy się porażką Harolda, zrehabilitować w ten sposób swego pupila. Ten niebanalny pomysł jest treścią filmu. Jeszcze w żadnym poprzednim filmie Harolda Lloyd nie było tyle kapitalnych pomysłów, tyle zabawnych sytuacji. Od pierwszej do ostatniej sceny widz bawi się świetnie. Scena, kiedy Harold zabiera ze sobą na mecz bokserki — żrebaka, przejdzie niewątpliwie do historii kinematografii, podobnie, jak taniec à la Duncan w „Gorące złoto” Chaplina.

Prócz Harolda Lloyd udział w filmie biorą: Adolphe Menjou, Vera Talsdale (znana z filmu „Sen nocy let-



Harold Lloyd w „Mlecznej Drodze”.

niej”), Helen Mack, William Gargan i Dorothy Wilson. Film reżyserował Leo McCarey, twórca świetnego „Ar-cylokaja” z Charlesem Laughtonem.



Wytworne krawiectwo męskie

H. LIPSZYC

Gmach Opery — Pod Filarami

DAN- CING PARADIS NOWY- ŚWIAT 3

W programie marcowym występują: słynna tancerka i pieśniarka Jeanne Lee oraz słynna piosenkarz Jossy Schmet i Wiera Gran na czele zespołu. UWAGA: Wprowadzona została w dni powszednie, za wyjątkiem dni świąt, i przedśw. ulgowa konsumpcja. Zamiast zł. 2,50 — tylko zł. 1,50 wyłącznie dla gości przybywających między godz. 10 a 11-tą wiecz. z prawem pozostania przez całą noc.